Nr. 5 | Należytość poczt. opłac. ryczałtem | We Lwowie, maj 1927 | Rok XLVIII

ŁOWIEC

ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO



OD 3. do 16. CZERWCA 1927

Pod protektoratem Pana Prezydenta Rzeczypospolitej

I. OGÓLNO-POLSKA WYSTAWA SPORTOWA

na placu i w pawilonach

TARGÓW WSCHODNICH

we Lwowie.

Od 3. do 16. czerwca 1927.

Pod protektoratem Pana Prezydenta Rzeczypospolitej

IGNACEGO MOŚCICKIEGO

PIERWSZA OGÓLNO-POLSKA

WYSTAWA SPORTOWA

połączona

z pokazem rozwoju życia sportowego w Polsce, oraz międzynarodowemi imprezami i widowiskami sportowemi

na terenie i w pawilonach

TARGÓW WSCHODNICH

WE LWOWIE.

:: Wszechstronny przegląd krajowego i zagranicznego przemysłu sportowego. ::
Zobrazowanie dotychczasowej działalności polskich związków na polu wychowania fizycznego i sportu.

Wystawa Łowiecka Trofeów i Sprzętu Łowieckiego

zawierająca działy:

a) TROFEÓW —

Zgłoszenia do działu trofeów przyjmuje **najpóźniej do 20 maja br.** Komitet Wystawy i Biuro Targów Wschodnich we Lwowie, ul. Jagiellońska 1. Zawierać one mają daty i opis sposobu zdobycia okazu, oraz podanie, przez kogo i w jakiej miejscowości (powiat, kraj) zdobyty został. Prócz zgłoszeń eksponatów w Biurze Targów Wschodnich należy o wzięciu udziału w Wystawie Łowieckiej uwiadomić również i Małop. Tow. Łowieckie, Lwów, ul. Ossolińskich 11, celem ewidencji wystawić się mających eksponatów.

b) ZBIORÓW MYŚLIWSKICH — *c)* LITERATURY ŁOWIECKIEJ STATYSTYKI

d) POKAZ PSÓW MYŚLIWSKICH, POLICYJNYCH I MELDUNKOWO-ŚLEDCZYCH

KORPUSU OCHRONY POGRANICZA.

Zgłoszenia do działu psów myśliwskich przyjmuje się w Biurach Targów Wschodnich we Lwowie, ul. Jagiellońska 1, **do dnia 25 maja włącznie,** z którym to dniem lista zgłoszeń będzie zamknięta.

e) MYŚLIWSTWO W SZTUCE POLSKIEJ.

Program Wystawy Sportowej uwzględnia ponadto następujące gałęzie sportu:

AUTOMOBILIZM, SPORT MOTOCYKLOWY I KOLARSKI, STRZELECTWO, HIPPIKĘ, SZERMIERKĘ, LEKKĄ ATLETYKĘ, FOOTBALL, TENNIS, AWJATYKĘ, FOTOGRAFJĘ SPORTOWĄ, SKAUTING I RADJO.

Nr. 5 | Należ. poczt. opłac. ryczałtem | We Lwowie, maj 1927 | Rok XLVIII

ŁOWIEC

ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

KALENDARZ ŁOWIECKI — **W maju wolno polować** na głuszce i cietrzewie (koguty) do 15-go.

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 6 złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 2·50 zł. — Cena pojedyńczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 90 zł, $^1/_2$ str. 50 zł $^1/_4$ str. 30 zł, $^1/_8$ str. 15 zł, $^1/_{16}$ str. 10 złp., $^1/_{32}$ str. 5 zł. -- Ogłoszenia wewnątrz tekstu o 50 % drożej.

Redakcja i administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p. (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godziny biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we wtorki i piątki, o godzinie 12-tej. Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. P. K. O. Konto Nr. 145.839. Telefon Nr. 18-59.

TREŚĆ: XXVI Zjazd Łowiecki. — Seweryn Krogulski: Pół wieku! — Albert Mniszek: Na zielonym ekranie (Polowanie na wilki c. d.) — Jerzy Dylewski: Wypchany tokowik. — J. Podoski: W poszukiwaniu myśliwskiej broni małokalibrowej (II). — Dr. A. Ruczka: Spostrzeżenia o wilkach (c. d.) — Jerzy Potocki: Wspomnienia myśliwskie z Indji (Pierwszy lampart). — Pan Wład. Janta-Połczyński nawołuje do bojkotu naszej tegorocznej Wystawy Łowieckiej. — W. Z.: Notatki bibljograficzne (Antoni Pisuliński). — Korespondencje: Rzeszów, Jarosław, Nowy Sącz, Ostobuż, Janów, Złoczów, Germakówka, Barszczowice, Słupiec, Radłów, Wysuczka, Lwów, Jarosław, Odrzechowa, Czernichów, Gródek Jagielloński, Worochta. — Rozmaitości: Polowanie na niedźwiedzie; Człowiek zmiażdżony przez węża. — Sprawy Towarzystwa: Sprawozdanie z posiedzenia Wydziału M. T. Ł. z d. 5. kwietnia. — Na ołtarz św. Huberta. — Komunikaty.



XXVI ZJAZD ŁOWIECKI

odbędzie się w dniu 8 czerwca b. r. we Lwowie.

W dniu tym o godz. 9 rano odprawioną zostanie msza św. przed ołtarzem św. Huberta w kościele św. Elżbiety. Walne Zgromadzenie rozpocznie się o godz. 10 w sali Towarzystwa Gospodarskiego przy ul. Kopernika 20.

Z powodu odbywających się w tym czasie związanych z Ogólno-Polską Wystawą Sportową strzelań konkursowych, doroczne strzelanie M. T. Ł. się nie odbędzie. Walne Zgromadzenie zadecyduje o terminie przyszłego strzelania.

Wydział projektuje, aby w dniu Walnego zgromadzenia członkowie M. T. Ł. zeszli się wieczorem u wspólnego stołu.

O ile zgłosi się odpowiednia ilość uczestników, (najdalej do 31 maja), wieczerza ta odbędzie się w salach Hotelu Krakowskiego w dniu 8 czerwca b. r. o godz. 20·30. Koszt od osoby (10 do 12 zł.) będzie członkom definitywnie w najkrótszym czasie zapodany na blankietach czekowych, w tym celu rozesłać się mających.

SEWERYN KROGULSKI

PÓŁ WIEKU!

Ciąg dalszy

Po wysunięciu naprzód opisu zwycięsko dokonanego dzieła, które wonczas było wielkim nakazem chwili, powracamy do omówienia w chronologicznym porządku działalności Wydziału Towarzystwa w powyższym okresie.

Na Walnem Zgromadzeniu, odbytem dnia 30 maja 1908 r., prezes Stanisław hr. Stadnicki w przemówieniu wstępnem oświadcza: „Wydział wciąż czuwa nad tem, aby przepisy nowej ustawy nie przyniosły szkody naszemu łowiectwu.

Co do stanu finansów naszych zaznaczam, że jak to wszystkim członkom ze sprawozdań „Łowca" wiadomo — dzięki znakomitej gospodarce wiceprezesa..., są one świetne. Dzięki tej okoliczności Towarzystwo nasze uzyskało już niewzruszoną podstawę bytu.

Łagodnej zimie ostatniej zawdzięczyć należy, że zwierzostan w wielu częściach naszego kraju znacznie się poprawił.

Z postulatów poprzedniego Zjazdu starał się Wydział załatwić wszystkie".

Poczem prezes oddaje hołd zmarłym członkom, ubolewając szczerze, iż na zawsze nas opuścili.

Pokos śmierci w tym okresie nazbyt dotkliwie nadszczerbił poczet Towarzyszy naszego Znaku. Ubyli zeń ś. p.: Andrzej hr. Potocki, Teofil Żurowski, Adam Wiktor, Stefan Borek Prek, dr. Tadeusz Krobicki, Franciszek Jaruntowski, Albert hr. Starzeński, Jerzy hr. Dunin Borkowski, dr. Jan Biesiadecki, Fryderyk August hr. Breza, Witold Czajkowski.

Do licznych wspomnień pośmiertnych, poświęconych dotąd zmarłym członkom naszego Towarzystwa, dla utrwalenia w pamięci współczesnych i potomnych ich zasług, budowie lub rozwojowi naszej instytucji oddanych — przybywa bolesny nekrolog ś. p. Andrzeja hr. Potockiego.

Wstrząsającą wszystkiemi nerwami, mrożącą krew w żyłach i szpik w kościach polskiego narodu była straszna wieść o tragicznej śmierci tego wielkiego Obywatela, który na całej linji społecznych zagadnień rządzonego przezeń kraju olbrzymie poniósł zasługi.

Mocną nić nad wszelki wyraz krzepkiego żywota tego szlachetnego Męża, przecięła nikczemnie, jak to powszechnie wiadomo, ręka sfanatyzowanego młokosa — „mołojca" — wykonawcy wyroku niesprawiedliwych sędziów bratniego nam narodu, rzekomo za „kryudu", której ś. p. bezecnie Zamordowany, czasu swych wielkodusznych rządów, tak zwanym „Ukraińcom" zgoła nie wyrządził.

Ale z polityką na bok!... Nie tu dla niej miejsce.

Spojrzyjmy na tę niezwykle dzielną postać z myśliwskiego punktu widzenia.

Ś. p. Andrzej hr. Potocki poza tem, iż niezmiernie przyczynił się urzędowemi rozporządzeniami do podniesienia gospodarczego poziomu naszego łowiectwa, co tu niejednokrotnie już podniesiono, był zarazem myśliwym w całem słowa tego znaczeniu skończonym.

Łączył On bowiem w sobie wszelkie cnoty, cechujące myśliwca najwyższej klasy i stylu, bo to i ogromne zamiłowanie, i namiętną pasję do łowów i wielkie ukochanie przyrody. Znakomitym był też hodowcą zwierzyny.

W Krzeszowicach posiadał sławny zwierzyniec — istna Spała za czasów cara Mikołaja II-go.—

Natura obdarzyła Go szczodrze prócz przymiotami wielkiego umysłu i serca, niespożytem również zdrowiem i tężyzną fizyczną. To też na łowach, zwłaszcza w Karpatach, dni całe mógł spędzać bez pożywienia i znużenia. Umiał też wobec groźnego zwierza, czy

to nie dość celnie ugodzonego pociskiem niedźwiedzia, czy odyńca zachować zawsze krew zimną i przytomność umysłu, tak nieodzownie przy szlakowaniu i dobijaniu rozjuszonego postrzałka potrzebną.

Strzelcem był wprost niezrównanym! Pamiętne są Jego bajeczne pokoty dzików, zdobywane na polowaniach w sławnych kniejach Poturzycy lub w ukochanych przezeń Pieniakach. Tam to samowtór z równie myśliwym wielkim — przyjacielem swoim ś. p. Tadeuszem Cieńskim, ubijali dziennie niekiedy rekordowe ilości dzików.

W obficie zazwierzynionych Krzeszowicach często urządzał polowania sportowe, wyróżniające się tem, iż do zwierzyny drobnej oraz bystrolotnych bażantów strzelano wyłącznie tylko kulami z małokalibrowych sztućców.

Coprawda piękna była taka zabawa sportowa, ale krom podziwu dla sztuki strzeleckiej, nie budziła w duszy myśliwca głębszych wzruszeń i dreszczów, doznawanych przy spotkaniu z grubym zwierzem gór naszych.

To też ten polski Nemrod, dosytnego zaspokojenia szlachetnej swej pasji myśliwskiej i wyładowania energji bujnego temperamentu doznawał w całej pełni dopiero w uroczych łowiskach karpackich: Jasienia, Osmołody i Perehińska, polując na niedźwiedzie, rysie, jelenie i głuszce.

Tam w ciężkim, ale zarazem rozkosznym trudzie fizycznym znajdował wypoczynek dla umysłu, znużonego obowiązkową pracą wielkorządcy ojczystego kraju, dla dobra jego obywateli.

Do najokazalszych zdobyczy myśliwskich ś. p. A. Potockiego należy olbrzymi niedźwiedź, odznaczony zaszczytnie z pośród konkursowych trofeów na Międzynarodowej Wystawie łowieckiej w Wiedniu 1910 roku medalem złotym oraz rekordową nagrodą świata — „Weltrekord“! —

Aliści chwili tego triumfu wielkiemu myśliwemu naszemu , niestety, nie było pisanem dożyć.

Jeżeli srogi los przeznaczył ś. p. Andrzejowi Potockiemu śmierć tragiczną, to naprawdę, że dostojniejby Mu było zamiast tak niecnie i marnie, zginąć raczej w zapasach z niedźwiedziem lub od szabel odyńca. Z dwojga złego, choć żal byłby jednaki, atoli to drugie byłoby warunkowo godniejsze myśliwca, walczącego o życie z rozjuszonym zwierzem.

Cześć głęboka Jego nieodżałowanej pamięci!

Ale wróćmy do dalszego ciągu obrad dnia tego. Na wniosek członka komisji rewizyjnej, radcy Antoniego Goralczyka, który bardzo pochlebne dał Zarządowi świadectwo za wzorowe — jak się wyraził — prowadzenie ksiąg, udzielono Wydziałowi absolutorjum z rachunków, które w r. 1907 zamknięto zapasem gotówki w kwocie 7.014 koron.

Ustępującemu w tym roku, po myśli postanowień § 24. Statutu, Prezydjum Towarzystwa, Walne Zgromadzenie wyraziło pełne swe uznanie i zaufanie w sposób najzaszczytniejszy, mianowicie wnioskiem na ponowny wybór prezesa i obu wiceprezesów na dalsze trzy lata przez aklamację.

Następnie jednogłośnie zatwierdzono kooptowanych przez Wydział członków do Zarządu Towarzystwa: Tomisława Jędrzejowicza, Marjana Małaczyńskiego i dra Pawła Mazurka. Na zastępców wybrano: Włodzimierza Barańskiego, dr. Józefa Ekielskiego, Cyryla Kochanowskiego i Henryka Preka.

Z racji dokonania wyborów wyraża prezes „szczerą podziękę za ten nowy dowód uznania, objawiony w formie wyboru przez aklamację, członkom prezydjum i Wydziału za ich rzetelną pracę“. Osobno dziękuje wiceprezes Krogulski za ponowny mandat Walnemu Zgromadzeniu, prezesowi zaś i referentowi komisji rewizyjnej za nader pochlebną ocenę jego działalności.

Przy tej sposobności zwraca się do uczestników Zjazdu z gorącym apelem, aby przy każdej okazji jednali nowych członków Towarzystwu i zasilali „Łowca“ sprawozdaniami i artykułami z niwy łowieckiej.

Przy ostatnim punkcie obrad — wnioski członków — wiceprezes Gal. Klubu hodowli i tresury psów myśliwskich Albert Mniszek podaje do wiadomości, że w dniach 4 i 5 lipca 1908 odbędzie się na Placu powystawowym we Lwowie, wystawa psów myśliwskich i wszelkich innych ras. Mowca prosi o skuteczne poparcie go w tem trudnem przedsięwzięciu.

Na tem porządek obrad został wyczerpany, poczem prezes, zamykając posiedzenie zaprasza zebranych do jawienia się na strzelnicy.

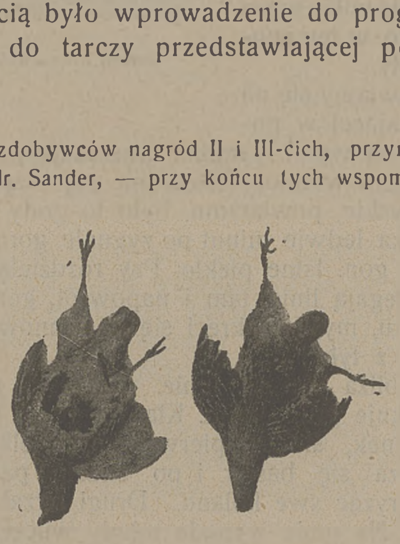
I tym razem, jak roku zeszłego, do walki z mistrzami sztuki strzeleckiej staje adeptka kultu św. Huberta — a może bogini Djany?... — P. Emilja Jędrzejowiczowa, która wprawdzie tym razem jeszcze walnego zwycięstwa nie odniosła, atoli w strzelaniu IV-tem, kulami do tarczy ruchomej, mianowicie do dzika, zasłużoną zdobyła pochwałę.

Nagrody I-sze zdobyli: Kazimierz Marmoross — dwie, — Edward Münter, por. Lisowski, Henryk Prek, br. Seweryn Brunicki i dr. Zdzisław Dzikowski.*)

Niebywały dotąd rekord w pięciu strzałach kulami do tarczy stałej na odległość 80 kroków ustala Kazimierz Marmoross, uzyskując 64 punktów na 70 maksymalnych.

Nowością było wprowadzenie do programu strzelanie śrutem do tarczy przedstawiającej pomykającego zająca.

*) Listę zdobywców nagród II i III-cich, przyrzekł zestawić wicepreses P. dr. Sander, — przy końcu tych wspomnień.



ALBERT MNISZEK

NA ZIELONYM EKRANIE.

II.

Polowanie na wilki.

W czasach zarania lat moich młodzieńczych wilk na Ukrainie był zwierzyną bardzo rozpowszechnioną, nie mniej jednak przez tamtejszych myśliwych cenioną.

Dla nas „Galicjan“ (dzisiaj „Galicjaków“) stanowił upragniony cel pożądań myśliwskich, a cóż dopiero dla mnie, 17 letniego wówczas chłopaka, który swą karjerę myśliwską dopiero rozpoczął od przepiórek i kszyków! Do najsłynniejszych wtedy łowów wilczych w gubernji kijowskiej zaliczały się łowy u ś. p. Franciszka Potockiego w Turbijówce. Odbywały się one zwykle w ostatnich dniach sierpnia, a więc w ostatkach moich wakacyj.

Królewskie to były gody!

Zajeżdżamy pod miot, gąszcz nieprzebyty. Lasek 100 morgowy, grabowo leszczynowy, otoczony w koło sieciami.

Trzydzieści wspaniałych ogarów na kilku rozmieszczonych wozach, dają wściekłem ujadaniem wyraz swej niecierpliwości.

Brama z sieci otwiera się na chwilę by wpuścić do wnętrza nas myśliwych, za nami wchodzą psy prowadzone na sforach, dojeżdżacze wjeżdżają konno. Brama się zamyka.

Dokoła lasku rozstawieni jak pikiety, konni z chartami, by w razie przerwania się wilka przez sieci, brać go w ten sposób w obroty.

Rozstawiamy się na linji przecinającej w połowie lasek na wylot. Trąbka... puszczają psy, dojeżdżacze konno za nami w miot. Polowanie się rozpoczyna.

Królewskie, powtarzam, było to gody!

W kilka ledwie minut po sygnale gorący psów rozpoczyna się gon. Istne piekło. Psy rozdzielają się na kilka grup, przebiegają linię, tam i napowrót, gonią w obu połowach miotu, myśliwy kręci się na stanowisku, chciałby mieć oczy i z tyłu!

Gon zbliża się do mnie. Na lewo na mego ś. p. ojca wyskakuje gruby wilk. Kładzie go w ogniu. Ledwie zmienił ładunek, śladem pierwszego, wielki, ciemny, na linję wytacza się basior i po strzale pada, kręci się w kółko, gryząc swe kolano. Drugi strzał uspokaja go na zawsze. Na mnie wypada młody wilczek. Po strzale się wywraca, wstaje i uchodzi, ale już wali przezemnie zgraja psów. dopada go w gąszczu, słychać charkotanie, za chwilę rozedrą cenną dla mnie zdobycz, ale już jest między psami dojeżdżacz, dzielny Cyryl i kilkoma uderzeniami harapa psy odpędza, zeskakuje z konia, a wilka zarzuca na drzewo. Odemnie na prawo stoi Stanisław Tyszkiewicz, za nim Wieńczysław Karnicki (wymienieni tu uczestnicy łowów już dawno w mogile) pada kilka strzałów z ich strony. Ze zdziwieniem widzę, jak Tyszkiewicz porzuca swe stanowisko i biegnie do Karnickiego. Coś się tam między nimi dzieje, czego zrozumieć nie jestem w stanie, wreszcie widzę, jak spory wilk z pośród nich wyskakuje, słyszę słowa Karnickiego: „Niech cię djabli porwą“ i dwumetrowej wysokości postać Tyszkiewicza wali na ziemię, nakrywając się nogami.



Roman Kruszewski z ubitym kapitalnym kozłem w Chorobrowie w lipcu 1913.

Dla wyjaśnienia tego wypadku zaznaczyć muszę, że w owych czasach przeważna część ukraińskich nemrodów używała odprzodówek, jak je tam zwano kapiszonówek. Po każdym strzale następował długi i denerwujący proceder nabijania, jak go mój ojciec nazywał: „robienie masła“. Jak się potem pokazało, Tyszkiewicz wygarnąwszy z obu luf naraz do wilka (taki wówczas tam panował zwyczaj, że do wilka ruszano obu cyngli na raz), nasypawszy już śrut do luf, w prędkości nie dał kłaków, lecz na śrut wpuścił stempel. Śruciny już stempla nie puszczają otoczywszy sobą jego żelazne okucie, i nie ma siły wyjęcia go z lufy. Biegnie więc do sąsiada z prośbą o ratunek, Karnicki stawia swą strzelbę pod drzewem, bierze strzelbę Tyszkiewicza za kolbę. Tyszkiewicz ciągnie za wystający z lufy koniec stempla i tak każdy ciągnie w swoją stronę.

Trzeba dziwnego zbiegu okoliczności, że w tej chwili wilk przyciśnięty psami wyskakuje z gąszczu, wpada jak w bramę między obu myśliwych po pod nieszczęsną strzelbę i przebiega przez linię. Karnicki na widok wilka zirytowany na Tyszkiewicza, który popsuł mu spotkanie, krzyczy: niech cię djabli i wypuszcza z rąk kolbę, a ten wali się w znak na ziemię.

Dochodzi południe, psy pomęczone, słabnie gon. Gospodarz daje sygnał na przerwanie łowów. Schodzimy się na śniadanie. Zwołane psy dostają kwaśnego mleka i idą

do pobliskiego stawku do kąpieli. Na rozkładzie leżą: para starych wilków, 4 młode (z których 2 żywcem przez psy wzięte) i jeden zeszłoroczny. Ponieważ było ich w ewidencji 9, brakuje jeszcze 2. Dwugodzinny odpoczynek się kończy, wracamy na stanowiska i łowy idą dalej, aż i te 2 wilki brakujące dostają się do rozkładu.

Okrasza go jeszcze dziesiątka lisów i borsuk.

Tak to polowaliśmy lat temu z górą 40 w ojczyźnie kurhanów.

Opisane powyżej polowanie na wilki było jednem z ostatnich.

Rząd wziął się w owym czasie energicznie do tępienia wilków płacąc dość wysokie stosunkowo premie bo 5 rubli od ubitej sztuki. Akcja ta dała szybko dobry rezultat, gdyż w przeciągu kilku lat wilk w zachodnio-południowych prowincjach Rosji stał się rzadkością.

Ukończywszy szkoły, przebywałem dłużej i częściej na Ukrainie, o wilkach już jednak wtedy mowy nie było, pozostały nam tylko w jesieni prześliczne polowania na lisy w rudach i trzcinach z gończakami.

Brałem jeszcze raz wówczas udział w polowaniu na wilki u mego szwagra Stef. Makowieckiego w prześlicznej jego Michałówce niedaleko Kamieńca podolskiego z gończemi panów Starzyńskich z Paniowiec.

Wybraliśmy wtedy całe gniazdo tych rabusiów. Z pogromu wyszła jedynie matka stada. Ta w kilku następnych po polowaniu dniach urządzała nam wieczorami koncert wycia w brzezinie naprzeciw dworu, jak gdyby oskarżała jego mieszkańców o mord spełniony na jej dzieciach.



JERZY DYLEWSKI

WYPCHANY TOKOWIK

Wicio Skarski, uczeń III. klasy powróciwszy ze szkoły, zastał list pisany ze wsi przez najdroższą mamę w którym donosiła mu, że wszystko w domu w porządku: Mars chowa się znakomicie, a Janek-ogrodniczek, najlepszy towarzysz wycieczek dopytuje się ciągle o dzień przyjazdu panicza i prosi, aby Wicio przywiózł mu z Warszawy nożyk ogrodniczy do szczepienia drzewek.

Wszystkie te wiadomości odczytywał z miłem zadowoleniem, z ciekawością odpowiadającą czułemu jego sercu kochającego jedynaka i przyszłego dziedzica zameckich dóbr.

Prędko lecz uważnie przebiegał wzrokiem kochane pismo, tem droższe, że przynosiło mu wraz z wiadomościami, na które tak zwykle czekał, woń poleskich puszcz, błot, łąk, jezior — wszystkiego, co tak gorąco kochał całem swem jestestwem, jako prawy syn swej uwięzionej ziemi, jako chłopiec, być może, przesubtelniony i wydelikacony w uczuciach nie tylko dzięki warunkom, w jakich się wychował, ale także dzięki świetnej rasie, której był typowym przedstawicielem.

Jako taki odziedziczył po ojcu, między innemi szczególne upodobanie do myślistwa i koni, nic też dziwnego, że przebiegając kartki listu, szukał wiadomości dla siebie najważniejszej, najbardziej przyjemnej, o którą tyle razy upominał się w listach do ukochanej mamy.

W zakończeniu dopiero, ze skupioną uwagą i radością objawiającą się w żywym uśmiechu czytał: „przychodził Mikołaj i prosił aby Ci zakomunikować, że cietrzewie już zaczynają tokować, a ciąg słonek lada dzień się rozpocznie".

Chłopak podskoczył z radości i składając starannie list matczyny, ucałował papier, dając nieświadomy dowód, jak gorąco kochał tę dla której był wszystkiem i jak tęsknił w murach stolicy do ziemi, na której ujrzał światło dzienne i stawiał pierwsze, chwiejne kroki.

Wybiegł też zaraz do drugiego pokoju, aby podzielić się wiadomościami o cietrzewiach, słonkach, Marsie i Janku z kolegami z którymi razem mieszkał przez czas trwania nauki.

Dopiero za pięć długich dni mógł Wicio wyjechać do domu.

Lekcje miały się już ku końcowi i jak to bywa szły w tempie zwolnionem, w oczekiwaniu i nadziei tych wszystkich niespodzianek jakie zsyła młodzieży Święto Wiosny, dając jednocześnie przedsmak zasłużonego odpoczynku zarówno nauczycielom, jak i uczniom.

Wicio należał do bardzo zdolnych w swej klasie i chociaż przykładał się do pracy bardziej z ambicji niż z chęci, uchodził za dobrego ucznia, mógł więc ostatnie dnie, bez obawy przykrych następstw, poświęcić przygotowaniom do wiosennych łowów,

Widział już kilkakrotnie, siedząc w budce razem z ojcem, turnieje pięknych ptaków. Gorączkowo przeżywał w młodzieńczem sercu myśliwskie wrażenia tego polowania, sam jednak miał strzelać zaledwie w tym roku i dla tego był to rok w mniemaniu Wicia niezwykły, poważniejszy od minionych i dający mu prawo wyzwolin do zastępu myśliwych w całem tego słowa znaczeniu.

Teoretycznie znał wszelkie rodzaje polowań od dawna.

Na pamięć umiał daty ochronne zwierzyny, niektóre cenniki składów broni, w których szperał całemi godzinami szukając najodpowiedniejszej dla siebie strzelby, dokładnie znał pochodzenie wielu koni wyścigowych i słynnych psów myśliwskich, o zdobyciu których marzył.

Z uporem i dziecięcą ciekawością podpatrywał ptaki w zameckich kniejach, a często umykał z domu gdy świt walczył z nocą, aby się przekonać czy sarny stale wychodzą na tę samą łączkę i czy dudki wyfrunęły już ze starej lipy, w której corocznie się gnieździły.

Latem, podczas wakacji, całemi dniami biegał i błądził ze starym gajowym Mikołajem, bawiącym „panicza" cudownemi opowieściami o jego lasach i jeziorach gdzie po kilkanaście łosi w jednym zakładzie na zimowych nagankach bywało i gdzie zawrotne liczby wszelkiego gatunku ptactwa zabijał Dziadunio Wicia, strzelając kulami „bez pudła", jak zapewniał stary.

Prześliczną szesnastkę, jako imieninowy podarunek otrzymał Wicio w roku zeszłym od stryja.

Byli wtedy razem w Warszawie i nie mało czasu poświęcił pan Roman Skarski swemu bratankowi, aby wybrał taką, jaką zechce i jaka będzie „najprzykładniejsza".

Decyzja padła na piękną szesnastkę, a długie namysły skrócił dzień wyjazdu stryja za granicę.

Aż do pierwszej bytności w Zamku mieszkał Wicio na Smolnej, pielęgnując i odkurzając codziennie swą strzelbę, której miejsce zostało wyznaczone pod... poduszką.

Jakaż to była radość, gdy ojciec pochwalił wybór i zbił celnemi strzałami kilka butelek rzucanych wprawną ręką Grzegorza w parku pałacowym?

A potem?

Ileż wspomnień zawodów i triumfów z nieocenionej broni, zawsze czystej i starannie utrzymanej przez właściciela?

Ile obrazków tak żywo wyrytych w pamięć młodzieńczą, że mógłby każde piórko spadającego wypióra namalować, i lasek gdzie to było, i obłoki, i uradowaną z pojętności ucznia ogorzałą twarz starego Mikołaja.

A dubelt, którego zmęczony Mars nie chciał szukać i aportować?

A na jaki dystans został zabity — trudno nawet powiedzieć.

„Na żadną z dubeltówek ojca nie chciałbym się zamienić“ mówił sobie nieraz Wicio, „chyba... chyba, że na tego Stapfa i to tylko dlatego, że łatwiej i prędzej się ładuje gotowemi nabojami, ale i to... też nie taka strzelba nadzwyczajna“.

„Jakaś ciężka i daleko mniej przykładna od mojej kapiszonki“.

. . . .

W niespełna tydzień po otrzymaniu owego listu dojeżdżał Wicio koleją do zwykłego kresu swej podróży, malenkiej stacyjki Juchnowicz.

Od ukochanych dzieliły go już tylko cztery mile końmi.

Na stacji był „Matwiej“ czwórką tęgich cugantów i malenkim wózkiem bo droga teraz b. ciężka. Przywiózł dochę „starszego Pana“ i „walonki“, które „Pani prikazała obuć, bo nadto w drodze chłód“.

Po kilkagodzinnem borykaniu się furmana, koni i wózka z wszelkiego rodzaju przeciwnościami poleskich dróg, zajechał Wicio przed rzęsiście oświetlony ganek Zameckiego pałacu.

Obległy go odrazu psiska wierne i długo się bronił od ich czułości zanim udało mu się wejść do domu.

Cały dzień następny zszedł na przygotowaniach do mającego się odbyć polowania z budek.

Cietrzewie, według relacji Mikołaja, umyślnie dla panicza sprowadzonego z odległej gajówki grały „dobre“, a ciąg słonek rozpoczął się przed tygodniem i dlatego był najmocniejszy.

Jeszcze za dnia para białoruskich mierzynów nie zdradzających bynajmniej swym wyglądem wewnętrznych przymiotów, dających im możność chodzenia po okolicznych dołach, rowach, a czasami i mostkach nie dających się dla jakichś powodów objechać... raźno podjechała do Mikołajowej gajówki, gdzie na połowie chaty nocleg już był przygotowany.

Pod wieczór poszli razem z Mikołajem na pobliskie ciągi, ale ze względu na rezultaty strzałów... lepiej o nich nie pamiętać.

Szczodrą ręką ochmistrzyni zaopatrzona kuchnia też się gdzieś pod siedzeniem lekkiego wózka znalazła i późno już było, gdy odurzony wiosennem tchnieniem powietrza Wicio rzucił się na przygotowane dla siebie łóżko, aby wypocząć i „pewną“ mieć rękę do jutrzejszych strzałów.

Chwilami młody dziedzic marzył o nadzwyczajnych sukcesach wsłuchując się w monotonne pieśni świerszcza na zapiecku, — jak przez mgłę widział mnóstwo „czarnych rycerzy“ zabijanych bez huku przez siebie, — snuł niejasne obrazy świetnej przyszłości, wieku dojrzałego, bezustannych polowań, masy psów, koni, łosi, dzików, sarn... patrzał, jak to on sam Wiktor Skarski jest już gospodarzem w Zamku.

Psów — niezliczone mnóstwo, — konie — tylko wierzchowe, — służba — wyłącznie strzelecka, a polowanie codziennie przez 365 dni w roku... i... zasnął twardo snem znużenia.

Długo przetaczała go z boku na bok jakaś zmora, zanim w półmroku łojówki rozpoznał szepcącego Mikołaja.

„Paniczu, a Paniczu — pora wstawać“.

Zerwał się Wicio szybko i łyknąwszy kilka razy gorącej herbaty przynaglał poczciwego Mikołaja „pompującego“ paniczową „Pistonówkę“.

Gdy zatrzasnęli za sobą drzwi chaty, zrazu owiał ich chłód wiosennej nocy i otrzeźwił Wiktorka zupełnie.

Otoczyła ich po kilku krokach ciemność bezksiężycowej, pochmnrnej nocy.

Z początku Wicio szedł sam, niosąc pieczołowicie ulubioną strzelbę i z konieczności pozostawał w tyle, stąpając po omacku za znającym na pamięć każdy krzak, każdy kamień, każdą najmniejszą przeszkodę Mikołajem.

W końcu stary kilkakrotnie przystając dla panicza zaproponował trzymanie się za ręce i podał twardą dłoń delikatnej rączce Wicia.

Teraz było znacznie lepiej, a dopiero po upływie kilkunastu minut zrobiło się dobrze.

Wiaterek porozpędzał gdzieś chmury, uciszyło się zupełnie i myśliwi ujrzeli wyiskrzone gwiazdami niebo.

„Zdajetsia ranek budzie dobryj“ — mówił szeptem stary kłusownik, któremu dla wszelkiego bezpieczeństwa rzadko zdarzało się mówić pełnym głosem nie tylko dlatego, aby miał płoszyć jakąś zwierzynę, ale instynktownie aby ukryć swoją obecność przed niepożądanem uchem.

„A daleko jeszcze Mikołaju? Żebyśmy się nie spóźnili bo ja teraz nie poznaję którędy idziemy. To nowa jakaś droga do toków?“.

„Wiersty dwie budzie paniczu, a dorohu my pokinuli, w prawo poszła“ — wyszeptał znów gajowy.

„Czasu jeszcze dowolno“ — kończył stary wplątując gdzieniegdzie kilka słów „pańskiego“ języka.

Po pół godzinie gorączkowego pochodu dotarli wreszcie do młodych, rzadko rosnących sosenek, niby samosiewnego zagajniczka stanowiącego brzeg moczarów i błot puszczańskich.

Przy jednem z większych drzewek Wicio rozpoznał budkę.

Z gałęzi przez Mikołaja narąbanych wznosił się mały stożek, którego wierzchołkiem był sam pień piętnastoletniej, słabo odżywianej poleską glebą, sosny.

Gajowy rozchylając przy samej ziemi ścianę budki wśliznął się do wnętrza i po chwili prosił panicza, aby mu podał „swoju strelbu“, a następnie futro.

Gdy wszystko w budce ulokował, wysunął się stary, jak odyniec ze świerczyny, lekko bez szelestu, a przytrzymując kolące gałązki, przepuścił czołgającego się Wicia i sam ukrył się w zasadzce.

Dołek na nogi był wielce wygodny, a dacha, wojłoki i ciepła czapka zaczęły znów usypiać znudzonego oczekiwaniem młodego sportsmena.

Tymczasem, z tyłu za myśliwymi wypłynęła na horyzont dziwna a tak zwykła jasność pnąc się szybko w górę po niebie.

W ciemnościach ukryte dotąd chmurki, świetlejąc mieniły się całą gamą nieporównanych, tęczowych barw poczynając od jasno-żółtych, przez seledyn, karmin, aż do buraczano-fioletowych.

Już mglisto zarysowały się kontury najbliższych krzaków, już w budce przyglądał się Mikołaj drzemiącemu paniczowi i bez zazdrości spoglądał na bogate futro okrywające „panskaho“ jedynaka, gdy zerwał się gdzieś na błocie ostry głos, zrazu niezrozumiały, silny, jak granie tęgiej sfory ogarów puszczonych znienacka na śpiącego odyńca...

„Co to“. — Wyszeptal zbudzony Wicio.

„Heto żurawli paniczu" — tym samym tonem lecz spokojnie odparł Mikołaj.

Jednocześnie ze słowami starego zaszumiało coś w powietrzu, jak wicher przeleciało koło ukrycia i przypominając trzepotaniem spadającą w grzędy kurę, ucichło.

Mikołaj zagroził palcem, co znaczyło prośbę o milczenie i spokój.

Po chwili, drugi taki sam odgłos, trzeci, czwarty, z różnych stron.

Czau-szsz-yyi, czau-szyyi dochodziło już z rozmaitej odległości, a wprawne ucho doskonale rozróżniało przytem podskoki i bicie skrzydłami czarnych zapaśników.

Wiciowi serce się tłukło, że słyszał je sam przez futro.

W gałęziach dopatrywali się teraz, czy daleko do grających sztuk.

O dwadzieścia kroków siedział jeden pyszny, znakomity gracz na którym można odróżnić nawet było szerokość przepięknych oranżowych brwi.

Wicio chciał strzelać, ale Mikołaj proponował poczekać, aż się lepiej rozwidni i tok umocni, tłómacząc paniczowi, że uda mu się w ten sposób zdobyć nie tylko jednego koguta.

Pojedyńcze bełkotanie zmieniło się w jeden chór cietrzewi oblegający budkę strzelecką

Koguty podskakiwały na miejscu, zbliżały się do siebie lub przelatywały dalej wyparte groźnemi spojrzeniami starych, wytrawniejszych rycerzy.

Nieco w prawo wszczęły właśnie walkę o palmę pierwszeństwa dwa piękne samce i tak się zapędziły we wzajemnej gonitwie, że otarły się o budkę w której serca myśliwskie zamarły na chwilę.

Na nic się zdały Mikołajowe perswazje.

Młodość, gorączka zwalczyły zimną wyrafinowaną rozwagę.

Powoli, ostrożnie wysunął panicz przez gałęzie zdradziecką strzelbę i długo się musiał składać by wreszcie chwiejną w zgorączkowanych rękach broń skierować do najbliższego cietrzewia.

Chwila decydująca... serce przestaje bić... ogłuszający huk... i dym zasłonił wszystko.

. . . .

Dnia tego wracał Wicio swojemi mierzynami do Zamku.

Po rozmarzniętych łąkach, szuwarach krzakach i na błocie słychać było mnóstwo wiosennego szczebiotania myśliwskich i drobnych ptasząt i zdawało się, że wszystkie one głoszą triumf młodemu dziedzicowi.

Każdy krzaczek, choć jeszcze smutny, już się do Wicia uśmiecha, każda trawka ma swoją duszę, niezrozumiałą nikomu prócz myśliwcowi.

A cóż to było w domu.

Wszystko się śmiało, cieszyło, radowało dookoła Wicia, nawet, — nawet on bohater porannych zawodów z matowem okiem i śmiertelnie opuszczoną powieką, zdawał się brać udział w święcie młodości, wiosny, dziecinnych rozkoszy i beztroski.

Jeszcze przy lampie leżąc w łóżku, nie mógł się Wicio napatrzeć na swoją zdobycz, tak upragnioną, tak pozornie trudną do osiągnięcia, a wypadki dnia głęboko i na zawsze wryły się we wrażliwą duszę młodego myśliwego.

Oczywiście cietrzewia wysłano do wypchania i odtąd zawieszony nad łóżkiem Wicia żywo przypominał mu dziecięce przeżycia odtwarzające wiernie jasne nastroje dni minionych bezpowrotnie.

Starannie odkurzany, czyszczony, pielęgnowany przetrwał ten martwy świadek pierwszej radości, długie, długie lata, a nawet doczekał się dnia, w którym pan Wiktor podprowadziwszy swego syna do „pierwszego" koguta, opowiedział mu z całą dokładnością i ojcowskim entuzjazmem historję tego ptaka, przeżywając tym sposobem powtórnie radosne chwile minionej młodzieńczości, chwile tak odległe, a tak zdawało się bliskie, jednako zawsze drogie i kochane.

. . . .

W czterdziestą wiosnę po pierwszem Wiciowem polowaniu z budki, w rok niespełna zaś po ukończonej wielkiej wojnie, przez poleską drogę wolno i ociężale toczył się wózek chłopski, snać z daleka, bo nikomu z okolicznych nieznany.

Na grochowinach wpół leżąc, wpół siedząc jechał „jakiś pan" i bezsilnym, zmęczonym wzrokiem badał całą okolicę: wioski, drzewa i strumyki, aż do horyzontu posyłając smutne, głębokie, szaro-mgliste oczy.

Nadchodził piękny, wiosenny choć zimny jeszcze wieczór.

Powoli zachodziło jaskrawe słońce, na bagienkach i rowach, wabiły się kaczki przelatując od czasu do czasu ponad drogą i zapadły gdzieś w pobliżu. Bekasy wznosiły się wysoko w niebiosa i opadając łagodnym łukiem, warczały bezustannie.

Gdzieś daleko ozwały się ciągnące żórawie, w pobliskich krzakach swarzyły się drozdy, a wkrótce potem dał się słyszeć chrapliwy głos słonki i ostatnie tony bełkoczącego na sośnie cietrzewia.

Zapadał zmrok. Poczynał się koncert żabi przerywany głuchemi jękami sowy leśnej i rzadziej wytrwałem tokowaniem spóźnionego krzyka.

Pan Wiktor Skarski — bo on to właśnie jechał tym wózkiem — postanowił zanocować w Newlu, skąd przed świtaniem chciał wyruszyć do bliskiego już Zamku,

Zmęczone szkapiny chętnie się zatrzymały u lepszej jakiejś chatki i strudzeni podróżni posiadali w łuczywem oświetlonej izdebce, aby się ogrzać i cośkolwiek zjeść.

Wieś była spalona, pusta, jakby wymarła, zniszczona przejściami wojny, a kilka całych chatek stało pustkami w oczekiwaniu powrotu swych właścicieli ze smutnego wygnania do Rosji.

Pan Skarski nie mógł spać zupełnie pomimo, że leżał jako tako wygodnie na snopku słomy, oczy miał wpół otwarte, a znużenie ogarniało go coraz silniej.

Z chwilą zbliżania się do kochanej ojcowizny otwierały się jątrzące rany zadane nieubłaganym losem i zbrodniami wielkiej wojny.

Choć sam zdrów i czerstwy ogromnie się w ostatnim roku Pan Wiktor postarzał.

W jego oczach zamordowano w okrutny sposób dzielną współtowarzyszkę życia i matkę obydwóch synów.

Starszy, Staś służąc w 2 pułku Ułanów Polskich w Bobrujsku zginął podczas jakiejś potyczki z bolszewikami, młodszy, Andrzej został rozstrzelany w Petersburgu przy pierwszej rewolucji 17-go roku.

Pan Wiktor został sam, samiuteńki i zatapiając się w tragicznych rozmyślaniach o swych najbliższych, łudził się jeszcze czas jakiś, nie wierząc w śmierć swego Stasia dopóty, dopóki nie otrzymał urzędowego zawiadomienia ze sztabu 1-go poleskiego Korpusu.

Sam nie wiedział poco żyje i poco jedzie do pustego zameckiego pałacu.

Ledwo pierwsze, nieliczne kury po wiosce się ozwały, zerwał się pan Wiktor i obudziwszy woźnicę. kazał zaprzęgać.

Ciemno jeszcze było zupełnie, gdy nieszczęsny rozbitek dobrnął do zameckich ...zgliszczy.

Pierwszy brzask pozwolił furmanowi odszukać jakąś nowopowstałą lepiankę i wywołać wystraszoną, starą

babę zwabioną tylko zapewnieniami, że to „wasz pan prijichał".

. . . .

W mrocznej, ciasnej izdebce, gdzie od kilku miesięcy leżała piastunka dwóch pokoleń rodziny Skarskich, jął pan Wiktor opowiadać o swych nieszczęściach zasypywany mnóstwem najboleśniejszych pytań rozszlochanej, wiernej sługi - przyjaciółki, a wzrok jego zbolały i tępy zatrzymał się nad małem okieneczkiem, gdzie na dobrze znanej gałęzi, z poszarpanemi bokami, bez piór prawie i pysznej kiedyś liry wisiał ten „pierwszy jego kogut".

„A skądże, to! Tekla przechowała?" — zapytał jakby umyślnie odchodząc od tragicznych tematów. —

„A ja panoczku jasnyj od kozaków wykupiła, pośledniuju kurku oddała, znała szto paniczy nadto lubiat hetoho ciecieruka, i tak on odinokij z pałaca ostałsia".

Pan Wiktor wyszedł z chatki.

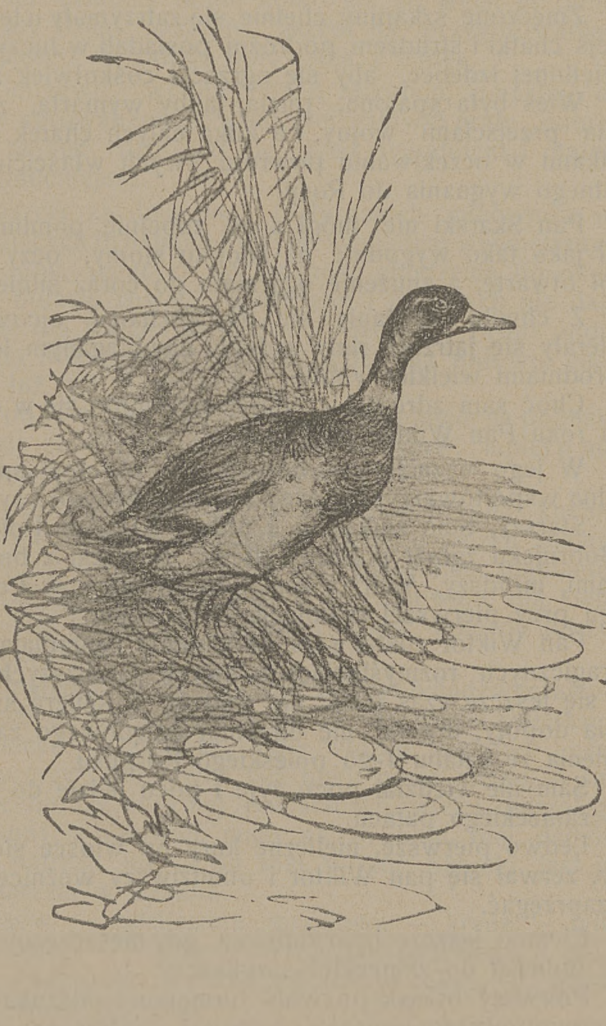
Gdzieś za rzęką, na bezbrzeżnych łąkach i nieużytkach bełkotał cietrzew.

Przez ociekające rosą warkocze brzeziny, widać było pierwsze przebłyski wstającego z mgieł słońca.

Z rozległych i zalanych roztopami błot doleciał nagle krzyk znany, potężny, ten sam co kiedyś, przed laty dał hasło uśpionym cietrzewiom przy budce Wicia.

Pan Wiktor patrzał w bezkres.

„Heto żurawli" — Mikołajowym głosem wyszeptał.



Dr. A. RUCZKA

SPOSTRZEŻENIA O WILKACH

Ciąg dalszy

W tym także mniej więcej czasie brałem udział w górskiem polowaniu w sąsiednim powiecie. Padło dwa wilki, prawie w tym samym wieku (trzylatki), ale jakże jeden inny od drugiego. Jeden wysoki, krótszy, o miękkiej burej sierci, drugi niższy, długi, o sierci jasnej, borsukowatej, szczeciniastej. Ten drugi przypomniał żywo wilki poleskie. W następnym roku skargi na szkody stały się tak częste i powód tych tylokrotnie sprawdzony, że postanowiłem sprawić fladry i propagować używanie ich na polowaniach wilczych u znajomych. Nagonka w górach chodzi pod psem, a na zastawkę zbiera się w dobrym wypadku piąta część potrzebnego myśliwskiego grona. Polowanie więc z fladrami przyjęło się i dało przynajmniej jakieś wyniki. Z końcem tejże zimy udało mi się zauważyć, że wilki z uporem i wytrwałością prześladują rudle mniejszych dzików, chodzących bez lochy, co ostatnio często się zdarza, przy wczesnych prosieniach.

Gdzieś z końcem marca zaraportował mi tropiciel, o obcięciu stadka pięciu drobniejszych dzików i „że trzy wilki za tym rudlem przyszły".

Wybrałem się więc osobiście i sprawdziłem dokładność raportu. Było to w piątek po południu. Od tego dnia chodziłem codziennie sam na otrop i stale przecinałem ślady dziczej piątki już to flankowane, już to przecinane przez wilki. Dziki szacowałem na 50—60 kg okaz, a między wilkami, których było dwa spore a jeden ogromny, poznałem starego znajomego bez palca. Stadko dzików trzymało się kurczowo w kupie i narazie przynajmniej nie dawało się rozbić. Tak trwało do wtorku. We wtorek po południu (rano jeszcze śladu nie było), stadko zostało rozbite, a to jeden średni wilk zajął się trójką pozostałych, a drugi średni i wielki poszły za tropem dwu odbitych sztuk. Nagnały je w system parowów i urwisk, zarosłych młodym gęstym bucznikiem, u góry wieńczonym półkolem dwumetrowych, o tej porze do gruntu rozmiękłych zasp. Przypuszczałem, że tragedja albo już ukończona, albo, że rychło się skończy i na tem oparłem plan działania. Po takiej sutej uczcie wilki mając poddostatkiem wody w leśnych potokach i dużo słonecznych zboczy dla miłego trawienia, nie zechcą się ruszyć przed upływem doby. Powróciwszy do domu (rewir odległy o godzinę), zatrąbiłem na alarm, no i zebrałem pięciu myśliwych. Reszta dopełniła służba leśna i fladry. Strzelb zemną 10, 32 ludzi nagonki, a miot 400 mrg, całego splątanego systemu jarów i potoków wybiegających pod górską polanę, przecinającą półkolem, ciąg lasów ku północy. Na froncie polana szeroka około 200 m i dość widna, więc tam rozciągnąłem pół km fladrów. Wąską drożynę przemykającą wśród gąszczy, przelewających się przez dział w rządowe lasy, obstawiłem najskrupulatniej, tak, że na lewą flankę zostałem tylko ja i jeden z pobereżników. Wiatr był wszędzie do miotów. Do nagonki przydzieliłem czterech leśnych, dając polecenie otwarcia gonu strzałem alarmowym na prawem skrzydle nagonki. Temu miał odpowiedzieć strzał lewoskrzydłowy w nagonce, a potem dwa w środku. To samo miało się powtórzyć w połowie miotu. Nagonka ruszyła według oznaczonego czasu.

Z swego stanowiska doskonale obserwowałem sznur wiaterkiem kołysanych fladrów i przedpole przerośnięte kępami jałowca.

Po jakich 10-ciu minutach padł w nagonce pierwszy alarmowy strzał, odpowiedział mu drugi flankowy, a wkrótce w odstępach dwa środkowe.

W jakiś kwadrans najwyżej potem, wypadły po prawej mej ręce na przedpole skradającym się kłusem, dwa wilki; zataiły się na chwilę w kępie jałowców i jak dwie płowe smugi, zawróciły w miot, W pięć minut potem w środku prawej flanki myśliwych, padł strzał.

Daleki, zlany szum głosów nagonki, to wybłyskał na grzbietach, to tonął po dolinach, wreszcie ścichł zupełnie na samem dnie głównego jaru. Czasem tylko zadarła się orzechówka lub ubogo zakwiliły gile, na resztkach jarzębiny. Powoli, z lekkim poszumem wiatru nadlatywał zmącony głos, dzielący się coraz wyraźniej na części i znowu w głębi przewaliły się echa strzałów alarmowych; słychać ich cztery. Echa pełzną w górę potokami, rozbijają się po uboczach i giną.

Wtem na lewo suchy szelest wstrząśniętego jałowca, gałki oczne w bok; stoi za jałowcem, widzę tylko łapy. Broń na kolanach, — wzrok ku dołowi; gotowa do strzału. Głosy nagonki coraz bliższe, już słychać gwiżdżenie, głuchy stuk kija o spróchniały pień z prawej strony dość udatne naśladowanie szczekania.

Powoli wysuwa się schylony łeb i całe ciało wilcze; wsącza z za jałowca w podłużne wypłuczysko; z nogi na nogę ostrożne stąpnięcia. Widzę już tylko grzbiet za tłustymi kijami olchy, więc ostrożnie z kolan broń do policzka; koniec lufy czai się na przerwie. Wsuwa się w przerwę kosmaty przód, — trzask strzału; ścierwo wali się nabok i tylko kilka kurczowych drgnięć kolana, pieczętuje zbójecki żywot.

To polowanie dało w rozkładzie wilka bez czwartego palca, o wadze 42 kg i wilczycę szczenną 36 kg. Sekcja wykazała zawartość obfitą dziczych resztek w przewodzie pokarmowym.

Następne polowanie, z użyciem flader, dało znów jednego wilka.

Na tych obydwu polowaniach zauważyłem, że wilki wyszły na myśliwych pod wiatr. Były one w wieku lat 3—4-ch, budowy długiej niskiej, pokryte ostrą, rzadką, borsukowatą siercią.

Tej samej zimy ubito przy ponęcie wilka o typie odmiennym, wysokim i krótszym, o sierci burej miększem owłosieniu, a był w tym samym wieku co inne ubite.

Wiosna, lato i jesień 1925 r. wykazały pewne odciążenie pod względem plagi wilczej, wnosząc z ilości szkód wyrządzonych i śladów spotykanych na przesmykach.

Lekka zima z 1925/6, zdawała się rokować mało nadziei na wyniki zasiadki przy nęcisku.

W grudniu ubito jednego wilka przy nęcisku. Przedstawiał znowu typ długi, pokryty rzadkim, borsuczym włosem.

Było wtedy wilków pięć, trzymały się zdala od ponęty i tylko jeden, więcej zapewne głodny, przypłacił skórą to łakomstwo.

Z początkiem roku 1926 grasowało w okolicy wilków siedm. Szajka ta urządzała wyprawy rabunkowe rzadko razem, najczęściej w dwu grupach.

Jedna polowała we czwórkę, druga w trójkę i łączyły się albo przypadkiem, albo w czasie cięższych mrozów i zawieruchy śnieżnej. Trzymały się wtedy bliżej nęciska, niejako głodowej rezerwy. Przeganiały wszystkie okoliczne knieje, niepokojąc zwierzynę, a w szczególności młode dziki. Przekonałem się tylokrotnie, o tym ostatnim zwyczaju myśliwskim wilków, że uważam go prawie za regułę na luty i marzec w okolicach, w których poluje wilk, a zamieszkuje dzik. Ten ostatni, jest zwierzem przez wilki stale prześladowanym. Oczywiście, że stary zbrojny odyniec o wiele rzadziej wchodzi tu w rachubę, aniżeli skromne rudle, składające się z młodych sztuk. C. d. n.

J. PODOSKI

W poszukiwaniu myśliwskiej broni Małokalibrowej

II.

Po omówieniu w części I-szej niniejszej pracy tych cech i właściwości, jakich żądać będziemy od myśliwskiego sztućca małokalibrowego, przystąpimy dzisiaj do wyszukania odpowiedniego naboju wśród bardzo obszernej listy naboi słabych i średnich, wytwarzanych w Ameryce i w Niemczech.

Wyliczenie każdego naboju wraz z jego cechami balistycznemi znużyłoby tylko czytelnika, ograniczę się więc do podzielenia ich na grupy, wymieniając i opisując po jednym najbardziej uznanym z danej rodziny.

Muszę jednak prosić Szanownych Czytelników o uzbrojenie się w dużą dozę cierpliwości i chęci zrozumienia, albowiem w dzisiejszych katalogach amunicji istnieje taka plątanina najrozmaitszych naboi, niewiele różniących się między sobą, że doprawdy trudno zorjentować się co do ich wartości, a w dodatku Anglicy i Amerykanie stosują dotąd jednostki miary, których główną cechą jest niepraktyczność i skomplikowanie, toteż przerobienie takowych na jednostki metryczne wymaga nieustanych działań arytmetycznych.

1. Naboje słabe bocznego zapłonu (rys. 1).

Rys. 1.



22 LR 6 mm Bosquette 25 Rim fire

Do tej kategorji należą naboje cal. 22 (5, 4 mm.) short. long i long Rifle, nieco silniejszy: 6 mm. „bosquette long“, wreszcie kilka zarzuconych obecnie naboi większego kalibru: 25 Rim fire i 32 Rim fire.

Wielką zaletą tych naboi jest taniość, zato nie spełniają innych warunków przez nas postawionych. Energja jest zupełnie niewystarczająca, nawet dla polowania na najmniejsze gatunki drapieżników. Nabój 22 long rifle naprzykład, posiadający szybkość początkową około 310 m/sec, a energję: 18 kgm., pomimo doskonałej celności do 150-ciu metrów jest za słaby nawet dla strzelania wron powyżej 50-ciu metrów. Stwierdzili to przedewszystkiem Anglicy, którzy zaprzestali stosowania tego naboju dla swoich słynnych „rook and rabit rifles“, z poglądem tym zgadzają się również w zupełności Amerykanie.

Osobiście miałem możność przeprowadzenia licznych prób tych naboi przy świetnych „polowaniach“ na gawrony, w które obfitują wyspy na Wiśle pod Toruniem. Przy strzałach bardzo dalekich: 75 do 100 metrów, na które pozwalał mi idealnie precyzyjny karabinek tarczowy Winchester wzór 52, ptaki padały z wysokich drzew, jednakże rzadko kiedy były zabite odrazu, przeciwnie, często były tylko lekko ranne w sposób, wskazujący na niedostateczną zdolność ranienia pocisku.

Dlatego też uważam użycie tych naboi przy strzałach do jakiejkolwiek zwierzyny, a przedewszystkiem do

zajęcy, za zupełnie niewskazane, ponieważ możemy często zranić nawet śmiertelnie z tem, iż postrzałek padnie dopiero po kilometrach.

Stosowanie pocisków ekspanzywnych, o drążonym nosie, podobno zwiększa zdolność ranienia tylko w bardzo nieznacznym stopniu.

2. Naboje słabe centralnego zapłonu (rys 2)

Rys. 2.



22 W. C. F. Vierling 6.5X27 25-20

Do tej kategorji zaliczymy naboje 22 Winchester Central fire, 3, 6×35, 5 (Vierling), 6, 5×27 oraz 25—20 Winchester lub Remington.

Grupa ta wymaga bardziej szczegółowego omówienia, ponieważ wartość objętych przez nią naboi jest już znacznie większa.

Nabój Vierling, obecnie niesłychanie rozreklamowany przez kilka firm niemieckich jest prawie identyczny z pierwowzorem tej grupy — nabojem 22 W. C F.

Cechy jego są: Szybkość początkowa od 450-ciu do 550 m/sek., zależnie od ilości prochu, energja około 48 Kgm.

Fanatycy małych kalibrów twierdzą, iż posiada on ogromne wartości myśliwskie, i może być użyty z powodzeniem nietylko na ptaki, ale i do rogacza włącznie. Pozwolę sobie zaprzeczyć tym zdaniom na podstawie faktu, że balistyka jest nauką, która niezna i nieuznaje cudów. A cudem chyba byłoby nadanie małemu pociskowi o wadze zaledwie 2,55 grama i niewielkiej szybkości początkowej tak przedziwnych zdolności ranienia których nie posiadają pociski o wiele potężniejsze. Wiemy z doświadczenia, że nawet Mannlicher — Schönauer 6·5 milimetrowy niezawsze powali na miejscu rogacza, a jego energja jest blisko 5-ciokrotnie większa od pocisku opisywanego. Oczywiście, w wypadku idealnego trafienia w komorę lub w kręgosłup, można zabić na miejscu i jelenia lub dzika, niewolno nam jednak ryzykować niepotrzebnie kaleczenia zwierzyny w razie strzału odchylonego choć o parę centymetrów od idealnego punktu trafienia.

Są zresztą myśliwi, bardzo wytrawni i doświadczeni, którzy twierdzą, iż naboje 5, 2, 22 W. C. F. i Vierling są za słabe nawet dla większych ptaków — głuszec, gęś i duże jastrzębie przy strzałach na większe odległości.

Naboje 6, 5×27 i 25 — 20, bardzo do siebie zbliżone, należą już do kategorji znacznie silniejszych. Szybkość początkowa wynosi okolo 500 m/sek, energja waha się od 72-wóch do 130 kgr.

W ostatnich czasach ukazały się naboje 25 — 20 „Hi — Speed“ albo „High velocity“, których szybkość początkowa dochodzi do 660 m/sek, a a energja: 130 kgm. Naboje te zostały pomyślane dla zmodernizowania sztućców amerykańskich cal. 25 — 20, które były uważane za nieco przestarzałe z powodu zbyt stromego toru. Nowe te wydania spotkały się jednak z poważną krytyką, ponieważ zwiększenie szybkości osiągnięto dzięki ciasnemu napakowaniu prochu do łuski, skutkiem czego wzrosło ciśnienie, a wysoka temperatura spalenia bardzo szybko niszczy początkową część przewodu, utrudniając ogromnie dobre utrzymanie broni.

Wielką zaletą tych naboi jest łatwość nabijania wystrzelonych łusek rozmaitemi kombinacjami prochu bezdymnego lub czarnego i pociskiem ołowianym lub też w pancerzu dla większych szybkości początkowych.

Niestety, udogodnienia te w naszych warunkach są raczej illuzoryczne, ponieważ koszt kompletnych precyzyjnych narzędzi do przeładowania jest bardzo znaczny, a wszystkie łuski amerykańskie wymagają specjalnych spłonek — zupełnie odmiennych od niemieckich, które powszechnie stosujemy.

Należy jednak zaznaczyć, iż naboje 25 — 20 zwłaszcza w oryginalnych broniach amerykańskich: Winchestra lub Remingtona, są najbardziej zbliżone do „ideału“ broni małokalibrowej do celów myśliwskich.

3. Naboje silne o dużej szybkości początkowej. (rys. 3).

Rys. 3.



22 H. P. 25 H. P.



25 Rem. 25--35 6.5X52 9.5X58

Do nich zaliczymy: 22 H. P. Savage, 25 — 3000 Savage, 25 Remigton Automatic, 25 — 35 Winchester, 6, 5×58 Untendoerfer, Reduzierter Mannlicher i Mauser.

Szybkości początkowe wahają się od 640 do 1000 metrów na sekundę, a graniczne cyfry energji wynoszą

od 150 do 300 kgm., są to więc naboje zbliżone do wojskowych lub normalnych myśliwskich, znawcy jednak nie uważają ich za zupełnie wystarczające dla najgrubszej zwierzyny naszych kniei — jeleń i dzik. Starsze naboje tej grupy, o szybkości od 600 do 700 m/sek., i cięższym pocisku posiadają pewną przewagę nad nowemi (Savage). które odznaczają się ogromnem ciśnieniem, wynikającą stąd szybką korozją lufy, oraz niewielką zdolnością ranienia, na skutek zbytniej lekkości pocisku.

Wielkie szybkości w rodzaju 25 — 3000 Savage (1000 m/sek.) nie są nam potrzebne, ponieważ do 300 metrów dostateczną płaskość toru zapewnia nam już szybkość około 650 m/sek. Wierzchołkowa toru naboju 25-35 (Vo-650 m/sek.) na 300 metrów wynosi około 30 cm, a wierzchołkowa naboju 25-3000 równa się 17, 5 cm. na tej samej odległości. Każdy pocisk, nawet najszybszy posiada pewien opad. wykluczający możność używania tego samego celownika na 100 i 300 metrów. należy jednak pamiętać, iż strzały na 300 metrów do lisa lub rogacza będą należały do zupełnie wyjątkowych, jestto bowiem ostateczna granica strzałów myśliwskich, a nie każdemu danem jest polować w krainie „ludzi, zwierząt i bogów“.

Ponieważ duża rolę przy wyborze broni odgrywa wzgląd na trwałość i łatwość konserwacji lufy, będziemy unikali zbyt szybkich naboi małokalibrowych, starając się wybrać nabój mniej gwałtowny i niszczący.

Stąd więc, dla osób, potrzebujących broni małokalibrowej bardzo silnej, pozwolimy sobie polecić nabój 25-35, który cieszy się zresztą ogromnem powodzeniem zagranicą (6, 5×52 w Niemczech) a jest uważany w Stanach Zjednoczonych za najbardziej precyzyjny ze wszystkich istniejących na małej i średniej odległości — do 300 metrów,

Zagadnienie kosztu amunicji staje się bardzo poważnem przy użyciu tych większych naboi, zwłaszcza u nas, przy niesłychanych apetytach pewnych rusznikarzy. Naboje 22 H. P. Savage, które można nabyć w cenie 75-ciu złotych za 100 sztuk w Warszawie, są sprzedawane w innych miastach po 135 złotych za setkę! Jestto wykorzystywanie braku konkurencji i bierności konsumentów. Należy jednak stwierdzić, że ceny fabryczne tych naboi wykluczaią możność użycia ich w dużej ilości dla strzelania do byle czego a trudności w przeładowaniu, nie istniejące w Ameryce a nawet w Niemczech, są dla nas bardzo poważne.

Na skutek powyższych obszernych wywodów, polecimy Szanownym Czytelnikom dla broni o średniej mocy — naboje 25-20 lub 6, 5×27, dla broni silniejszych, nabój 25-35 po amerykańsku, lub 6, 5×52 po niemiecku,

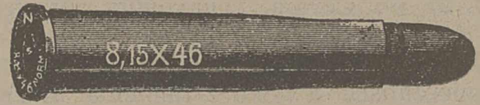
Przy podziale na „rodziny“ rozmyślnie nie wzięliśmy pod uwagę naboi stosowanych w sztućcach automatycznych Winchestera :·32, ·35, a nawet ·351. Uważamy bowiem iż naboje te, choć nie należące do grupy silnych, nie nadają się zupełnie do klasyfikacji wśród średnich, ze względu na brak wartości balistycznej. Są to bowiem pociski bardzo powolne, o szybkości od 400 do 550 m/sec, energji od 140 do 280 kgm, i ogromnym opadzie na dalsze odległości, ponieważ wierzchołkowa toru na 300 metrów wynosi 82 centymentry (dla naboju ·35 auto).

Strzelanie na 200 i 300 metrów jest przeto ogromnie utrudnione i wymaga wielkiego podniesienia lufy, w dodatku naboje te, używane wyłącznie w automatach Winchestera są mało precyzyjne na odległościach większych od 150-ciu metrów, odznaczają się dużym kosztem i trudnościami w przeładowaniu.

Miedzy nabojami niemieckiemi istnieje jeszcze jeden, naogół mało znany, który jednak posiada bardzo duże wartości do celów myśliwskich.

Jestto nabój „Schützenpatrone 8, 15×46“, stosowany powszechnie w ciężkich broniach tarczowych rozmaitych stowarzyszeń i bractw kurkowych, oraz niektórych trójlufkach i büchsflintach myśliwskich (rys. 4.).

Rys. 4.



81,5X46

Jego zalety balistyczne są naogół niewielkie. ponieważ szybkość nie przekracza 500 metrów przy najsilniejszych ładunkach bezdymnych, a energja wynosi około 150 kgm., za to cechuje go bardzo dobra precyzja, wynikająca z dobrego kształtu pocisku i odpowiedniej wagi, nie niszczy przewodu lufy, wreszcie, przeładowanie wystrzelonych łusek jest bardzo łatwe nawet w Polsce, zajmują się tem bowiem wszyscy rusznikarze w byłym zaborze niemieckim, żądając za tą czynność umiarkowane ceny (około 10-ciu — 15-tu zł. za setkę). Ładując samemu, po nabyciu dość taniego kompletu przyrządów, można dobrać kombinacje prochów i pocisków najlepiej odpowiadające charakterowi danej broni, dzięki czemu osiągniemy rozrzuty znacznie mniejsze od rozrzutów najlepszych naboi fabrykacji mechanicznej.

Dobre naboje 8, 15×46 w idealnej broni wyrobu Büchela, Nowotnego lub Springera mogą zapewnić rozrzuty z 10-ciu strzałów o średnicy mniejszej od 4-rech centymetrów na 100 metrów, czego nie osiągniemy nigdy z broni maszynowych — rozmaitych Winchesterów i Remingtonów.

Po wybraniu naboi :25 — 20, 25 — 35 i 8, 15×46 przystąpimy w następnym artykule do omówienia odpowiedniej broni.

JERZY POTOCKI

Wspomnienia myśliwskie z Indji

ADAMOWI ZAMOYSKIEMU w dowód starej przyjaźni, wrażenia te poświęcam.

PIERWSZY LAMPART

Dobra organizacja jest rękojmią wyniku polowania, szczególnie, jeśli spoczywa w rękach ludzi, którzy są myśliwymi i znają zwyczaje i miejsca pobytu zwierzyny, na którą się poluje. Jadąc do dalekich Indji, nie miałem pod tym względem ani chwili wątpliwości, gdyż kierownikiem ekspedycji miał być pułkownik Faumthorpe, największy myśliwy Indji i specjalista od polowania na tygrysy. Przez lat 35 mieszkając w Indjach — zabił pułkownik Faumthorpe około 100 tygrysów, pomijając już wielką ilość lampartów, z których trzy zakłuł z konia lancą — nie mówiąc o pięknym rozkladzie wszystkich niemal gatunków zwierzyny, od gór Himalajskich począwszy, aż po Ceylon. Znakomity strzelec, znany w Indjach pod przydomkiem „Great Shikar“, dziś do tygrysa lub lamparta nie podnosi sztucera, chyba w ostatecznej konieczności, a tylko z ramienia Muzeum Waszyngtońskiego zbiera pomniejsze okazy fauny indyjskiej.

Z kuzynem moim Józefem, który wracał z oficjalnej misji do Afganistanu, spotkaliśmy się w stolicy Imperjum, w Delhi i wspólnie ruszyliśmy do Lucknow, miasta położonego na północnej granicy Indji, gdzie po kilkudniowym pobycie, wyjechaliśmy już pod egidą pułkownika, koleją, na samą granicę królestwa Nepalu.

W dali widniały niebosiężne szczyty gór Himalajskich, wiecznym śniegiem pokryte, podczas gdy terenem naszego polowania była ogromna równina, wspaniałym lasem i dżunglą porosła. Lasy te, pod nazwą „terrai forests“, będące własnością rządu indyjskiego, ciągną się wzdłuż granicy Nepalu, na przestrzeni paruset kilometrów i są wzorowo gospodarowane, na wzór niemieckich lasów państwowych. Przeważa tu jeden gatunek drzewa, a mianowicie drzewo „sal“, z wyglądu i struktury kory bardzo podobne do naszego dębu, o liściach szerokich, szklisto zielonych, bardzo gonne i jako drzewo materjałowe bardzo cenione. Zadziwiające jest zwarcie lasu i niezwykła bujność podszycia, tworząca miejscami zbite, niskopienne gąszcze palm. Lasy te są ulubioną ostoją tygrysów, które ściągają tutaj z wyżyn Nepalu za stadami jeleni, w które knieja ta obfituje.

Nietylko tygrysa i lamparta, lecz niemal całą faunę Indji można spotkać bez trudności wśród zieleni cudownych lasów terrai'u.

Po nocy spędzonej w wagonie, wysiedliśmy rano na maleńkiej stacji, pod nazwą Dudwa, gdzie oczekiwał nas leśniczy Anglik Mr. Stewart z dwoma automobilami i kilkoma wozami, zaprzężonemi w tęgie byki. Ranek był chłodny; rzeźkie powietrze ciągnęło od gór Himalajskich, które w czystym lazurze nieba grały miljonami kolorów. Odetchnąłem z lubością, stanąwszy po tygodniach podróży nareszcie u celu, w warunkach, które przewyższały wszelkie oczekiwania. Mr. Stewart uprzejmie objaśniał nas o horoskopach polowania i o widzianych tropach tygrysów, a wreszcie o zajmowanem przez niego stanowisku w służbie rządowej. Obszar, który mu podlegał, wynosił około 150.000 ha, podzielony na leśnictwa i racjonalnie eksploatowany, według map i planów gospodarczych. Po drodze już widzieliśmy cięcia, a stacje zawalone były podkładami kolejowemi i tęgiemi klocami, coś w rodzaju naszych dworców kolejowych, na rubieżach Rzeczypospolitej.

Co nas jednak najbardziej zadziwiło, to istnienie na całym obszarze znakomitych dróg samochodowych. Nie są to bite gościńce, lecz zwykłe, ziemią równane drogi, które w porze suchej oddają doskonałe usługi i tworzą doskonałe arterje komunikacyjne.

Oprócz tego, po całym kompleksie lasów rozrzucone są wygodne domki, tak zwane „bungalows“, dla użytku leśniczego, czy też przyjezdnych osobistości rządowych.

Stewart, młody Szkot, zajmował tę posadę od lat trzech, z wielkiem zamiłowaniem, będąc nietylko leśnikiem z zawodu, ale też doskonałym znawcą i hodowcą zwierzyny. W niedługim czasie mieliśmy sposobność poznać jego zalety i skonstatować naocznie, jak wielka ilość zwierzyny nietrapiona, przybywa pod czujnem okiem jednego białego człowieka.

Pułkownik był tutaj w swoim żywiole. Tyle lat spędził, wędrując po lasach i dżunglach i tam w dali, na chłodnych wyżynach Nepalu, że każda piędź tej ziemi była mu niemal osobiście znaną i właściwie ona dzisiaj mu była drugą ojczyzną. Starzy shikarzy patrzyli w niego jak w tęczę, śledząc każdy jego ruch, bo odwagą i spokojem zdobył miłość i szacunek tych prymitywnych dzieci Wschodu. Tutaj panowała już wszechwładna Azja, nikt się nie śpieszył i na wszystko był czas. I pułkownik, choć Anglik z krwi i kości, nabył tę zasadę, że kto chce polować, musi mieć dość czasu. Nie dziś — to jutro; lepiej, żeby każda ewentualność spotkania się z tygrysem lub lampartem, była należycie przygotowaną i obmyślaną.

Wolno ruszyliśmy ze stacji o jakich mil 15, gdzie w pięknem ustroniu, zwanem Sathiana, czekały przygowane namioty i słonie, z ludźmi i przyborami do królewskich łowów.

Na wstępie do Sathiany przywitał nas stary przyjaciel pułkownika Hindus, książę krwi, Dillipat shah, wielki myśliwy i właściciel słoni, człowiek w starszym wieku, nader uprzejmy i rozmowny. Pułkownik, on i Stewart byli odtąd osią i mózgiem całego polowania, tworząc tryumwirat niezwykle dobrany, uzupełniający się w fachowej wiedzy i lokalnej znajomości terenu.

Następnego dnia po przyjeździe, poprowadził nas pułkownik i Dillepat przez jeziora, bagna i moczary do niewielkiego lasku, coś w rodzaju dużej remizy, położonej w środku spalonego stepu Nie przypuszczałem nigdy, aby słonie mogły przejść z ciężką haudą*) na grzbiecie, przez podobne bagna, chociaż miałem w pamięci spostrzeżenia z Afryki o niezwykłych zdolnościach słoni w przezwyciężaniu mokradeł, lub nawet otwartej wody. Wśród tego moczaru, porosłego szuwarem, zabiłem jelenia barasingha (swamp dear — cervus duvaceli), wielkości naszego jelenia nizinnego, o rogach krótkich i jasnych, trofeum dość rzadkie w Indjach, bo zamieszkuje tylko te północne okolice i stale żyje w bagnie. Zabiłem go gdy przepływał przez otwarte jeziorko; strzelałem w kark, bo tylko tyle wystawało z wody.

Do wyżej wymienionego lasku dotarliśmy około południa i natychmiast rozpoczął się miot. Słonie w rozwiniętej linji, Józef wysunięty naprzód o sto kroków z prawej flanki, ja — z lewej. — Dżungla była wewnątrz niezwykle gęsta, drzewa i palmy poplątane, toteż słonie trąbami i łbami waliły jak taranem, by utorować sobie drogę. Wszystko co żyło, uciekało w dzikim popłochu, lecz rozkaz był, aby nie strzelać. tylko czekać na pojawienie się któregoś z dużych felinów. Pozostawało zaledwie 100 kroków gąszczu, gdy nagle pułkownik do-

*) Hauda — rodzaj kosza, przymocowany sznurami do grzbietu słonia. W koszu tym myśliwy może stać lub siedzieć swobodnie.

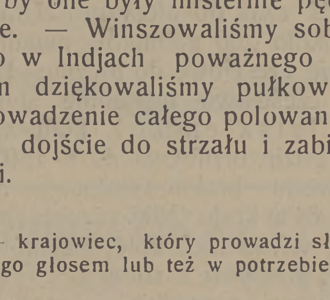
nośnie krzyknął, że lampart pomyka na przedzie. Słonie od razu czując drapieżnika, dawały sygnały alarmujące, ale szły w zwartym szyku, pędzone przez mahautów**).

Ścisnąłem sztucer mocno, starając się odnaleźć równowagę na grzbiecie słonia, co nie było rzeczą łatwą, bo trzeba się było strzedz kolców gałęzi, a z drugiej strony hauda tańczyła, jak okręt na wzburzonem morzu. Naturalnie, w takich warunkach strzał jest niemożliwy. Lecz słonie myśliwskie są tak wyszkolone, że na dany znak stają jak wryte, umożliwiając spokojny strzał na wszystkie strony. Widziałem jak poruszyły się trawy, coś zaszeleściało, ktoś jeszcze zawołał, że lampart tuż blisko, lecz mimo najlepszych chęci, zwierza zobaczyć nie mogłem.

Doszliśmy do końca miotu, gdzie ginęły już zarośla, a lampart nasz zniknął jak kamfora. Byłem przeświadczony, że spłoszony zwierz ruszył przed siebie, bo miał pole otwarte i dostateczne schronienie, lecz nasi augurzy zakonkludowali, że lampart się cofnął i przyczaił za nami. Zrobiliśmy na miejscu rodzaj ósemki ze słoniami. Pułkownik dobitnie wydawał rozkazy i nie minęło dwóch pacierzy, gdy usłyszałem w pobliżu głuchy pomruk, lecz znów w tak gęstem podszyciu i złomach, że niczego zobaczyć nie mogłem. Otoczyliśmy ten kawałek, który nie wynosił więcej jak dwie morgi, półkolem słoni, — ja znów zachodząc z lewej strony, — Józef na stanowisku na prawej flance. Sygnał, trąbka — i ruszyły słonie w atmosferze ogólnego podniecenia, za wyjątkiem pułkownika, który stojąc w haudzie bez broni w ręku, kierował swego słonia wprost na chrapiącego w furji lamparta. — Po chwili nerwowo zatrąbił słoń i zabrzmiał okrzyk, że lampart ruszył, Zachodziłem jak mogłem najspieszniej i zobaczyłem, jak Józef podniósł sztucer i do galopującego w trawach zwierza, na 20 kroków strzelił, łamiąc mu krzyż. Huk strzału, ryk rannego lamparta, tumult słoni, idących łeb w łeb pod razami żelaznych prętów mahautów — a nad tem wszystkiem spokój upalnego, słonecznego dnia na niebie i spokój pułkownika na ziemi, — wszystko to tworzyło obraz niesłychanie rozkoszny dla oka, dreszczem niezwykłych, nowych wrażeń przejmując nerwy myśliwego.

Drugi strzał Józefa trafił lamparta w kark, kładąc go trupem na miejscu. — Był to piękny wyrośnięty samiec, długości 7 stóp 8 cali, o centkach tak ładnie znaczonych, jak gdyby one były misternie pędzlem na porcelanie malowane. — Winszowaliśmy sobie wzajemnie tego pierwszego w Indjach poważnego trofeum, ale przedewszystkiem dziękowaliśmy pułkownikowi za fenomenalne poprowadzenie całego polowania, które umożliwiło Józefowi dojście do strzału i zabicie pięknego wicekróla dżungli.

**) Mahaut — krajowiec, który prowadzi słonia, siedząc na karku i popędzając go głosem lub też w potrzebie kieruje zwierza żelaznym prętem.



Pan Wł. Janta Połczyński nawołuje do bojkotu naszej tegorocznej Wystawy Łowieckiej.

WYSTAWA SPORTOWA A ŁOWIECTWO.

W pierwszym tygodniu czerwca br. odbędzie się we Lwowie I. Ogólno-Polska Wystawa Sportowa, do której ma być przyłączona Wystawa Łowiecka. Oddział Poznański sekcji łowieckiej w rozpowszechnionej wśród myśliwych odezwie zachęca do licznego udziału.

Będąc zawsze wielkim zwolennikiem sportu potrzebnego nam dla utrzymania fizycznej tężyzny i uprawiając go sam jaknajgorliwiej, sprzeciwiałem się zawsze słowem i pismem przeciwko łączeniu łowiectwa ze sportem.

Dzisiejsze prawidłowe łowiectwo jest przedewszystkiem sztuką wykonywaną w przyrodzie, jej umiłowaniem i ochroną, wypełnia estetyczne a w końcu bardzo ważne ekonomiczne potrzeby ludzkie.

Sport zaś, nie mający, prócz mało uprawianego u nas taternictwa, żadnej styczności z przyrodą, odbywać się może na boisku, arenie, lub maneżu, ma też do spełnienia, lubo zaszczytne ale inne zadanie dla kraju. Z tego względu jestem przeciwny łączeniu łowiectwa z Wystawą sportową. Jest też jeszcze inna przyczyna.

Za dwa lata odbędzie się w Poznaniu I. Ogólno-Polska Wystawa Krajowa, do której już przedewszystkiem jako równorzędny współzawodnik należy łowiectwo. Jest obowiązkiem naszego wielkopolskiego i pomorskiego łowiectwa, ażeby ta wystawa wypadła jaknajokazalej, aby była rzeczywistym obrazem naszej kultury. Jakkolwiek więc udział we Wystawie lwowskiej musiałby nas rozdrobić i niepotrzebnie osłabić w naszych obowiązkach działania przedewszystkiem na właściwem polu i na własnym terenie.

Niech więc Szan. Panowie z Komitetu Wystawy Sportowej, którzy się do mnie o poparcie udali, zechcą łaskawie darować, że mimo pełnego uznania dla sportu, do usiłowań Ich rozszerzenia działań i na łowiectwo, przychylić się nie mogę.

Wystawa Sportowa we Lwowie odbędzie się z pewnością i bez naszego udziału i powodzenie będzie miała bez łowiectwa, które byłoby tam piątem kołem u wozu. Nasze myśliwskie trofea zachowajmy do Ogólno-Polskiej Wystawy w Poznaniu. *Wł. Janta-Połczyński.*

Powyższe oświadczenie umieszczone w kilku czasopismach wielkopolskich wyczytałem z wielkiem zdziwieniem.

Dlaczego nie mielibyśmy zdaniem p. J. P. urządzić wystawy trofeów łowieckich, jako samoistnego działu na wystawie sportowej w tak dogodnych warunkach, jakie nam Komitet org. Wystawy Sport. podaje, gdy dostajemy najpiękniejszy, osobny pawilon ect., dlaczego również wystawa ta tegoroczna może w czemś tangować wystawę w r. 1929 w Poznaniu, byłoby dla mnie niezrozumiałem, gdybym nieznał intencyj opublikowanego oświadczenia i tych intencyj przyczyn. Jestem też najmocniej przekonany, że autor sam słuszności przytoczonych przez siebie argumentów nie uznaje, a użył je li tylko dla wywołania potrzebnych nastrojów.

Jako członek Komitetu Wystawy stwierdzić jednak z przyjemnością muszę, że złośliwie rzucone to ziarno, nie trafia wśród wielkopolskich myśliwych na grunt podatny.

Zgłoszenia trofeów z Wielkopolski i żywy kontakt nasz z Wielkopolskim Związkiem Myśliwych w Poznaniu dają nam nadzieję, że tamtejsze łowiectwo zajmie na wystawie poczesne miejsce, jakie mu się należy.

Dlatego nie podzielam dotą jeszcze obawy, z wyrazem której spotykam się od pojawienia się wyżej przytoczonego oświadczenia w sferach naszych myśliwskich niemal codziennie, że wskutek wystąpienia p. Wł. J. P. Wielkopolanie zbojkotują tegoroczną wystawę łowiecką i że nasi myśliwi odpłacą im w r. 1929 tem samem.

Wielkopolskie Społeczeństwo myśliwskie jest za dojrzałe, za poważne i zanadto miłuje wspólny nam wszystkim Sztandar łowiecki, by dało się pchnąć nierozważnem wystąpieniem jednostki na niewłaściwe tory, które musiałyby doprowadzić do przykrych i zgubnych dla prestige'u łowiectwa polskiego dysonansów.

Albert Mniszek.

Notatki bibljograficzne.

ANTONI PISULIŃSKI.



Na półkach księgarskich pojawiło się skromne dziełko pod tytułem: „Szlakiem słonia afrykańskiego. Wrażenia z podróży i polowań w Afryce środkowej". Książnica-Atlas, Lwów-Warszawa 1927. Str. 217. Dziełko bardzo udatnie i pouczająco ilustrowane 28-miu rysunkami i zdjęciami, posiada nagłówek Bibljoteki „Iskier", przeznaczonej głównie dla młodzieży.

Czytelnik, pochłonąwszy z największem zainteresowaniem tę książkę, która ujmuje niezwykłą w tego rodzaju piśmiennictwie prostotą i jeszcze niezwyklejszą prawdą — odkrywa, ku swemu niemałemu zdumieniu, umieszczoną przy końcu barwną mapkę z następującem objaśnieniem: „Droga A. Pisulińskiego w latach 1886—1888". Mapka przedstawia okolicę dolnej Zambezy i części jej dorzecza z rzeką Szirą, po nad tem, ku północy, słynne jezioro Njassa. Jakto? Lat temu 40?... Lat czterdzieści upłynęło, zanim te imponujące przeżycia, wymagające, jak na owe zwłaszcza czasy, żelaznej woli, niezmordowanej energji, upartej wytrwałości, — ujrzały wreszcie światło dzienne w postaci wspomnień, ubranych w szatę książki dla młodzieży?... któż jest tym człowiekiem, którego płomienny zapał niósł przez morza i lądy do dzikiej krainy dla zaznania najwyższych rozkoszy myśliwskich, dla zdobycia królewskich trofeów, dla przeżycia przygód wśród piętrzących się trudności, — kto jest człowiekiem, którego pogarda niebezpieczeństwa postawiła w szeregu najznakomitszych podróżników?

Czy wielu jest w Polsce ludzi, którzy odpowiedzą na to pytanie?...

Antoni Pisuliński urodził się we Lwowie, w r. 1860. Po ukończeniu szkół średnich biedził się przez szereg lat jako urzędnik rozmaitych instytucyj, szukając sposobu do życia. Przemożna myśl nie opuszczała go jednak na chwilę: pragnienie wydobycia się z więzów walki o chleb codzienny na szeroki świat i dostania się do krajów egzotycznych, a zwłaszcza do środkowej Afryki.

„Już od pierwszej mej młodości — pisze na wstępie swej książki — podróże po dalekich krajach miały dla mnie szczególniejszy urok. Zazdrościłem ludziom, którzy zwiedzali zamorskie krainy i marzyłem tylko o tem, aby kiedyś w przyszłości dostać się do krajów podzwrotnikowych i własnemi oczyma stwierdzić opowieści o nieprzebytych dziewiczych lasach, o bezbrzeżnych prerjach i doznać przygód, jakie tam każdego czekają podróżnika. Pożerałem książki, o tem traktujące. Nie jedną noc przepędziłem na czytaniu takich opisów, nie jeden ranek zastawał mnie jeszcze nierozebranego, kiedym ślęczał przy lampie z mapką w ręku, starając się na podstawie czytanych ustępów odnaleźć niedokładnie tam oznaczone miejscowości. Przedewszystkiem lubiłem opisy polowań na dzikie zwierzęta. Te najbardziej rozogniały moją młodocianą wyobraźnię i rodziły w duszy zamiłowanie do tego sportu, któremu później z prawdziwą namiętnością się oddałem".

Ale warunki szarego życia nie sprzyjały młodzieńczym zapałom. Mijały lata. Wtem dostaje Pisuliński list od jednego z dawnych kolegów szkolnych, bawiącego wówczas w Egipcie. Z listu tego dowiaduje się, że „towarzysz, z którym na ławie szkolnej tyle o Afryce rozmawiał — sposobi się do podróży nad Zambezę z zamiarem polowania na słonie"...

To zadecydowało o postanowieniu.

W r. 1884. wspólnie z trzema kolegami z ław szkolnych, we czwórkę więc, zwaną przez znajomych „*wykolejeńcami*", wybrał się Pisuliński w daleką drogę.

„Prawie bez funduszów — słowa z prywatnego listu Autora — z postanowieniem dostania się za każdą cenę nad Zambezę (kraina naszych marzeń z lat szkolnych), z końcem r. 1884, przezwyciężając liczne przeszkody, znaleźliśmy się u ujścia tej rzeki. Zrozumiawszy dopiero na miejscu, że bez znacznych funduszów nie zdołamy daleko w głąb się posunąć, przyjęliśmy wszyscy czterej propozycję angielskiego domu handlowo-eksploatacyjnego Sharrer Tiede & Cy. i przez 3 lata działaliśmy na ich rzecz i rachunek. Walcząc początkowo z groźną malarją tropikalną i trudnościami językowemi (bo trzeba było uczyć się portugalskiego, angielskiego, oraz miejscowego języka) przebyliśmy tam szkołę nie byle jaką w kierunku praktycznym, a przedewszystkiem szkołę samodzielnego i zdecydowanego postępowania, co nam się później bardzo przydało".

Po upływie czasu kontraktowego młodzi podróżnicy działają już na własna rękę. Pisuliński, jako zapalony myśliwy, poluje przez 3 lata, czerpiąc w handlu trofeami myśliwskimi, okazami przyrodniczymi i t. p., fundusze na pokrycie swych wypraw. Wspólnie z jednym z towarzyszy, Kazimierzem Steblecki m zbiera mnóstwo okazów przyrodniczych i etnograficznych, w zamiarze wysłania ich do kraju. Niestety zbrodnicze podpalenie niszczy te pierwsze zbiory. W r. 1891. wraca po silnym napadzie zimnicy na jakiś czas do ojczyzny. Uratowanych około 1000 sztuk, a około 200 gatunków, owadów twardoskrzydłych ofiarowuje częściowo do Muzeum Uniwersytetu Jag. w Krakowie, częściowo odstępuje słynnemu naszemu przyrodnikowi Jelskiemu. Z końcem r. 1891. wraca nad Zambezę, gdzie przebywa do r. 1893. Nowe zbiory marnieja z powodu braku funduszów na przewiezienie ich do kraju i dla kraju. Nikt niechce mu przyjść z pomoca... Resztki, wśród nich zbiór pająków dla prof Kulczyńskiego, przywozi z sobą.

Wyczerpawszy wszystkie oszczędności na podróże i leczenie, zmuszony jest po powrocie do kraju zaczynać na nowo... Znajomość spraw kupieckich ułatwiła mu w odpowiednich instytucjach pracę przez dalszych lat 26, ostatnio na stanowisku dyrektora Kasy Oszczędności w Ropczycach. Obecnie, już jako emeryt, mieszka w Rzeszowie. Z towarzyszy jego Władysław Jautz zmarł w Argentynie, jako właściciel apteki, dorobiwszy się majątku. Bracia Stebleccy, dorabiając się na plantacjach kawy, zmarli w r. 1896. Tak skończyła się Odysseja przedsiębiorczej czwórki.

Wojna światowa pozbawiła Pisulińskiego niezmiernie cennych notatek przyrodniczych i folklorystycznych. Przepadł też jego prywatny zbiór trofeów myśliw-

skich, przepadły przedmioty etnograficzne, dalej szkice ołówkowe ze świata zwierzęcego i roślinnego, pejzaże i t. p. przepadła wreszcie cenna bibljoteka podróżnicza w kilku językach. Z pożogi przypadkowo uratował się notatnik z drugiej wyprawy na słonie 1890/1 oraz kilkanaście szkiców. Temu zawdzięczamy wydrukowanie obecnej książki, która mogła była ukazać się już przed 30 laty, „gdyby nie dziwna obojętność, z jaką spotkał się rękopis u nakładców...“.

Dawni czytelnicy „*Łowca*“ przypomną sobie, że w r. 1895. w piśmie tem opublikowano część notatek Pisulińskiego. Obejmowała ona, w innej formie, mniej więcej dwie pierwsze części wydanej obecnie książki. Było to niemałą zasługą ówczesnej redakcji.

Długie lata był Pisuliński członkiem Małopolskiego Tow. Łowieckiego. Później zapomniano jednak o tym wielkim myśliwym z Bożej łaski, krajanie naszym, niezwykłym człowieku, któremu nie tylko łowiectwo egzotyczne i podróżnictwo, ale nauki przyrodnicze i etnograficzne mogły zawdzięczać nieocenione zdobycze, gdyby był znalazł u odpowiednich czynników to poparcie, na jakie zasługiwał. Co jednak nad wszystko zadziwia, to ów młodzieńczy zapał, który z nieprawdopodobną siłą prowadził go zwycięsko do wymarzonego celu, to jest do spotkania ze słoniem Czarnego Kontynentu. Trzeba sobie wszakże zdać sprawę czem było to przedsięwzięcie przed laty 40 w okolicach tak mało uczęszczanych, że pojawienie się w nich człowieka białego zawsze mogło skończyć się tragedją. W podróży swej trafił Pisuliński na ślady dwóch zamordowanych europejczyków, zwiedzających przed nim te kraje. Był wogóle trzecim „białym“, który nad Zambezą osiągnął trofea ze słonia. Położył 4 sztuki. Przytem wśród dzikich obracał się sam jeden. Z trzech przyjaciół żaden bowiem nie towarzyszył mu na wyprawach w głąb kraju.

Nie miał ani środków wystarczających, ani glejtów, w jakie zaopatrywali się późniejsi podróżnicy i myśliwi. Nie byłyby one zresztą wówczas miały żadnego znaczenia w tej dziczy.

A więc — chapeau bas!

I niechże książeczka, opiewająca te niesłychanie ciekawe, pouczające przygody będzie Autorowi choć częściową rekompenzatą moralną za doznane zawody, trudy, i straty. Ale niechże ta książeczka zostanie przez polskie społeczeństwo rozchwytaną i niech, zwłaszcza młodych uczy wytrwałości i hartu ducha. *W. Z.*

Korespondencje

Rzeszów, w lutym 1927.

Sprawozdanie delegackie.

Na skutek starań delegatów na powiat rzeszowski, nie zagrzmiał, zdaje się w naszych stronach od lat czterech ani jeden strzał do kuropatw, a mimo to jest tej zwierzyny bardzo niewiele. Dzisiejsze nikłe stadka, które się pokazały tu i ówdzie. nie przypominają wcale tych olbrzymich i licznych kuropatwich zespołów, jakie się u nas na wszystkich terenach przed wojną widywało. Może wyginęły masowo na kurzą chorobę, lub wytruły się zatrutem, myszom zadawanem, ziarnem.

Reszty zniszczenia dokonały gołębiarze i sokoły... I teraz cierpią one dotkliwie od skrzydlatych drapieżców, pojawiających się liczniej, niż dawniej.

Chociaż rokrocznie pada ich na zbiorowych polowaniach i przygodnie po kilkanaście sztuk, chociaż niszczy się z wiosną ich gniazda, rozmnaża się przecież rozbójnicze plemię zastraszająco i staje się plagą nietylko dla kur domowych i gołębi, ale przedewszystkiem dla bażantów i kuropatw.

Niedawno schwytano dwa młode gołębiarze, które w pogoni za gołębiem wleciały do chłopskich chat i żywcem ująć się dały. Jednego wieśniak zaraz uśmiercił, drugiego przyniósł do miasta. Gołębiarz ten okazał się młodą i dlatego łagodną i potulną samicą. Wciągu dwu tygodni oswoił się tak dalece, że pobierał pokarm z rąk, siadał na dłoni i głaskać i obnosić się pozwalał. Strzelałem dla niego wrony, zwykle po dwie dziennie. Fotografowany wieczorem przy świetle lampy łukowej, zachowywał się spokojnie i pozował tak, jak chciałem. Posłałem go w prezencie Ogrodowi Zoologicznemu w Poznaniu, dokąd zajechał zdrowo i szczęśliwie.

Jeśli chodzi o zające, zaznaczyć należy, że nie ucierpiały u nas zbyt wiele od motylicy. Miejscami na nizinach padło ich po kilka w październiku i listopadzie, ale ogólnie biorąc, było ich na wszystkich polowaniach dość dużo, w rewirach zaś dobrze strzeżonych, może nawet więcej, niż w zeszłym roku, niż przed wojną... Strzelane i rozebrane nie wykazywały na wątrobie ani na płucach zgorzelin chorobowych.

Lisów mieliśmy w sezonie także więcej, niż zwykle, a wszystkie z dobrej kondycji i piękne.

Zwierzostan sarni wykazuje jeszcze duże braki, bo nęci kłusowników i im ulega, zwłaszcza w rewirach słabo strzeżonych.

Dzików w powiecie prawie że niema, a jeśli się pokażą, to tylko w przemarszu i chwilowo, natomiast o jeleniach słyszy się coraz częściej.

Plaga kłusownicza nieco zmalała. Przyczynia się do tego wydatna akcja Policji państw., poprawne stanowisko sądów i powiatowej władzy administracyjnej.

Trudniej natomiast poradzić druciarzom, bo ci tylko w nocy, w ukryciu swoje niecne uprawiają rzemiosło. Czynią też szkody olbrzymie, wyzyskując krytyczną sytuację zwierzyny w okresie dużych opadów śnieżnych i mrozów. Całe naręcza drutów znoszą niemal codziennie nasi dozorcy prezesowi Towarzystwa Myśliwskiego, p. dr. Midowiczowi, a gdy ujawnią nazwisko druciarza — złodzieja, dostaje się on bezzwłocznie przed oblicze sędziego i otrzymuje zasłużoną, surową karę.

Sądząc po dotychczasowym przebiegu zjawisk atmosferycznych, spodziewamy się suchej i ciepłej wiosny a z nią pomyślnej rozmnoży zajęcy. Wszak rozpoczęły już na dobre swe gody weselne! Liczymy przedewszystkiem na lęg marcowy, jako że „marczaki“ już w sierpniu się parkocą, zdrowe i jędrne produkując pokolenie.

Wyniki polowań klubowych i proszonych, w których brałem niekiedy udział, podaję niżej. Widać z nich, że polne polowania wypadały o wiele lepiej, niż w kniejach które mając glebę zimną i wilgotną, nie mogły zapewnić zwierzynie pełnego zdrowia.

Dnia 23 listopada było polowanie w Trynczy u p. dra Marjana Nowińskiego. Opolowano wikle nad Sanem i ubito w nich w 11 strzelb 44 zające. Królował pan dr. Midowicz z 10 zającami.

27 listopada polowaliśmy na polach w Niechobrzu; w 5-ciu kotlach ubiliśmy w 15 strzelb 28 zajęcy.

4 grudnia polowano w lesie, dzierżawionym przez dra A. Midowicza, w Woli Zgłobieńskiej na czarnej stopie i ubito w 20 strzelb 15 zajęcy i 3 rogacze. Królestwo zdobył p. mjr. Stefan Ludwig, ubiwszy 4 zające i rogacza.

11 grudnia wypadło polowanie klubowe na polach Zwięczycy. W sześciu kotłach i w 23 strzelb ubito 52 zajęcy i lisa. Najwięcej miał p. dr. A. Midowicz, bo lisa i 7 zajęcy.

18 grudnia polowaliśmy na polach w Świlczy, dzierżawionych przez naczego kochanego druha i prezesa, dra Midowicza. W sześciu kotłach i w 22 strzelb padło 101 zajęcy. Królował p. dr. Nowiński z czternastoma zającami.

20 grudnia urządził polowanie w lesie w Jasionce p. marszałek Jan Jędrzejowicz, w 9 strzelb ubito 31 zajęcy, 2 lisy i cietrzewia. Pogoda dopisała w całej pełni.

W dniach 20 i 21 grudnia polowano w lesie w Turzy i Trzebusze u p. inż. Antoniego Ilgnera i ubito w 24 strzelb 31 zajęcy i 7 lisów. Królestwo zdobył podpisany mając na rozkładzie 5 zajęcy i lisa bez pudła. Wyszczególnić należy doskonałe prowadzenie polowania przez dyrektora lasu, p. Dudeka, tudzież przemiła atmosfera, jaka się wytworzyła w myśliwskim zespole — dzięki serdecznej uprzejmości druha gospodarza i przepięknej pogodzie.

Na wigilijnem polowaniu w Dąbrowie u pana inżyniera Ilgnera mieliśmy rzetelne gody myśliwskie. W trzech miotach leśnych i w dwu kotłach padło 59 zajęcy. Królował podpisany, ubiwszy 12 zajęcy na 15 danych strzałów. Gdyby było więcej myśliwych, i więcej nagonki, byłby pokot zajęczy dwa razy większy i ze dwie kity byłyby plon ozłociły.

31 grudnia polowaliśmy w Trzcianie u p. bar. Christianiego przy fatalnej pogodzie w deszczu i wichurze. W 12 strzelb padło 36 zajęcy. P. dr. Nowiński ubił najwięcej, bo 8 zajęcy, a rezultat ten zawdzięcza nietylko swej świetnej technice strzeleckiej ale i nader szczęśliwym spotkaniom.

8 stycznia ubito na klubowem polnem polowaniu w Kielanówce i Racławówce w 26 strzelb 71 zajęcy. Królem został p. inż. Jurkowski z 7 zającami.

10 i 11 stycznia odbyło się przepiękne polowanie u p. marszałka J. Jędrzejowicza na polach Staromieścia, Zaczernia, Trzebowniska, Jasionki Miłocina i Przybyszówki W 14 strzelb ubito 701 zajęcy! Królował p. Joachim Jarochowski, mając 90 zajęcy na rozkładzie! Gdyby był szanowny gospodarz strzelał, byłby może p. Jarochowskiego przestrzelał, ale on miał tylko laskę i z nią chodził, zostawiając przyjemność strzelania swoim miłym gościom.

15 stycznia ubiliśmy na polach Siedlisk i Zarzecza w 14 strzelb 34 zajęcy. Najwięcej ubił p. pułk. Jakubiczka, bo 7 zajęcy i jemu też berło przyznano. — Gołębiarz, który w jednym z kotłów zajadał gołębia, uciekł niezauważony przez zajętego zającami myśliwego.

19 stycznia polowaliśmy w lasach ordynacji łańcuckiej, w Sarzynie w sympatycznym zespole. Honory domu czynił p. inż. Wiesław Krawczyński, znany pisarz łowiecki, polowanie zaś prowadził sprawnie i energicznie nadleśniczy, p. Łaczek. W każdym mocie roiło się od sarn. Przybiegały na strzał i kapitalne rogacze, ale się ich nie strzelało... W 9 miotach i w 12 strzelb padło 19 zajęcy i 3 lisy. Królestwo zdobył sobie podpisany, ubiwszy 3 zające i 2 lisy.

22 stycznia polowaliśmy w Zgłobniu u p. dr. Midowicza i ubiliśmy w 26 strzelb 53 zajęcy. Królem nominowano p. Konrada Christianiego za jego 6 zajęcy.

Ostatnie przepiękne polowanie wypadło na polach Woliczki i Błędowej, dzierzawionych przez Towarzystwo myśliwych. W 18 strzelb padło 73 zajęcy. Królem okrzyknięto p, Walerjana Stanowskiego, bo ubił 10 zajęcy.

Z powodu braku czasu nie opolowano dwu dużych terenów klubowych, co wyjdzie żyjącym na nich zającom na zdrowie.

Władysław Gürtler.

* * *

Jarosław, w lutym 1927.

Sprawozdanie z odbytych polowań w sezonie 1926/27 na terenach Towarz. myśliwskiego im. św. Huberta w Jarosławiu.

Dnia 4 grudnia 1926 częścia w kotłach częścią w lesie,strzelb 12, zabito 31 zajęcy 1 lisa.

Dnia 18 grudnia 1926 w kotłach na Przedm. Jarosław część I „Łany kostkowskie“ — strzelb 13, zabito 36 zaiścy,

Dnia 24 grudnia 1926 polowanie wigilijne do godz. 2 popołudniu na Szwarzmanówce i Garbarach częścią w kotłach częścia w łozach, strzelb 12, zabito 27 zajęcy.

Dnia 30 grudnia 1926 w kotłach na Kruhelu Pawłosiowskim i Perkińskim, strzelb 16, zabito 71 zajęcy.

Dnia 15 stycznia br. w kotłach na przedm. Jarosławskiem część II „Blich“ strzelb 14, zabito 64 zajęcy.

Dnia 29 stycznia br. w kotłach w Rozborzu, strzelb 13, zabito 68 zajęcy.

Dnia 31 stycznia br. południowe polowanie w łozach nad starem łożyskiem Sanu, 8 strzelb, zabito 12 zajęcy.

Dnia 26 stycznia br. odbyło się polowanie u podpisanego w Ostrowie częścią w łozach częścią w kotłach w 5 strzelb ubito 19 zajęcy.

Dnia 31 stycznia br. odbyło się polowanie częścią w kotłach częścią w lesie u Pana Stefana Myczkowskiego (junior) w Jankowicach, gdzie w 10 strzelb ubito 51 zajęcy. — Paręset morgową przestrzeń terenu pozostawił gospodarz umyślnie nietkniętą.

Zygmunt Lachman.

* * *

Nowy Sącz, w marcu 1927.

Minął sezon polowań, pozostały wspomnienia chwil zawsze miłych sercu każdego towarzysza z pod sztandaru śp. Huberta, czy to razem spędzonych na gremialnych polowaniach czy w pojedynkę lub z towarzyszem na ciągu kaczek, słonek i t. d. Darmo trudziłby się ktoś wytłómaczyć — niemyśliwemu, na czem polega ten urok myślistwa, z pewnością nie na samem strzelaniu. Trzeba być miłośnikiem przyrody wrażliwym na jej piękno, umieć się zachwycać wschodem czy zachodem słońca, umieć się wsłuchiwać w szum i pogwar lasu, jednem słowem mieć w duszy struny na których wygrywa przyroda, przepiękną tęskną i czarowną pieśń znaną tylko myśliwemu.

Z obowiązku mego jako delegata M. T. Ł. i przewodniczącego kółka myśliwskiego w krótkim szkicu starać się będę skreślić stan faktyczny naszych terenów i wyników polowań. Rok 1927 był tym w którym trzeba było odnowić prawie we wszystkich gminach dzierżawę tere-



ńów łowieckich na dalsze sześciolecie. Dużej zapobiegliwości i staraniom prawie wszystkich członków kółka myśliwskiego Nowego Sącza, udało się, że teren naszych polowań mogliśmy nietylko powiększyć do wysokości 10.400 morgów, ale co najważniejsze skomasować w jedną całość nieprzerwaną. Gdzie nie ma klinów przerw i wysp tych ulubionych miejscowości dla klusowników, którzy płacą za taką wyspę między obcemi terenami każdą cenę, aby móc swobodnie kłusować na sąsiednich terenach. Teren naszych polowań przecina tylko wstęga Dunajca a po obu brzegach wszerż i wgłąb ciągną się poszczególne rewiry myśliwskie naszego kółka obejmujące łącznie 15 gmin wiejskich z terenami myśliwskiemi miasta Nowego Sącza.

Brak prawdziwej śnieżnej polskiej zimy był powodem, że wyniki rozkładów zwierzyny na polowaniach gremialnych były nieco gorsze niż w roku ubiegłym — no i urok polowań mniejszy, lecz można śmiało powiedzieć, że stan zwierzyny pomimo wszystko wzrasta z roku na rok. — Uczuwać się daje tylko katastrofalny brak kuropatw, to też polowania na kuropatwy na całym naszym terenie już drugi rok są zakazane. Trzeba przypuścić, że jakaś choroba drobiu była powodem tej klęski, co potwierdza jeszcze to przypuszczenie, że członkowie nasi znajdywali pojedyńcze martwe sztuki. — Tu i ówdzie znajdują się małe z trzech, czterech do sześciu sztuk najwyżej złożone stadka kuropatw, które strzeże się i chowa na dalszą rozmnożę. Kółko myśliwskie w Nowym Sączu polowało w zasadzie raz jeden w roku na każdym z terenów myśliwskich. Polowań gremialnych było jedynaście przeciętna liczba myśliwych na każdem polowaniu dochodziło najwyżej do dwunastu, ubito ogółem 144 zające, najwięcej na jednem polowaniu 28. (Trzeba jednak brać pod uwagę, że to tereny górskie), dwa lisy, jednego rogacza, dwa psy włóczące się i cztery koty. Z ptactwa dwadzieścia jeden dzikich kaczek, przeważnie krzyżówek, trzy gęsi szare i jedną mewę północną. Ze szkodników pięć jastrzębi krogólców, ośm jastrzębi gołębiarzy, dwie czaple, jednego bociana, dwie czaple bąki, jednego puhacza, sto czterdzieści pięć wron i dwieście ośmdziesiąt siedm srok. Każdy z terenów ma osobnego dozorcę polowań, pod tym względem jest jeszcze niejedno do zrobienia, bo trudno bardzo o dobrych i sumiennych ludzi. Dzięki temu że do kółka naszego należą członkowie i ze sfer sądownictwa, sądy nasze karzą ostrzej niż dotychczas to było w zwyczaju poszczególnych kłusowników i kłusownictwo się zmiejsza, trzeba również przyznać, że i policja państwowa oddaje nam pod tym względem usługi niezaprzeczone, odbierając broń i tropiąc kłusowników. Starostwo Nowo-Sądeckie idzie z pomocą polskiemu łowiectwu, starając się aby dzierżawy spółek łowieckich przechodziły w odpowiednie ręce a obecnie ma podobno nastąpić rewizja szczegółowa wszystkich kart myśliwskich i kart na broń. Mamy więc niepłonną nadzieję, że stosunki łowieckie w naszym powiecie z roku na rok ulegać będą poprawie. W powiecie Nowo—Sądeckim znajdują się jeszcze dwa towarzystwa łowieckie, Spółka myśliwska „Dunajec“ i Staro—Sądecka, które rozwijają się pomyślnie. Po otrzymaniu bliższych danych, nie omieszkam podzielić się niemi z szerszem gronem myśliwych.

Dr. Edward Zieliński.

* * *

Ostobuż w marcu 1927.

Nie mogłem wziąć udziału w Wiecu myśliwych, odbytym we Lwowie dnia 27 lutego 1927.

Dobrze bardzo się stało, że z inicjatywy Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego grono myśliwych tak poważnie i energicznie zareagowało przeciw uchwale Rady miasta Lwowa obciążającej broń myśliwską opłatą. Doprawdy, vidibile dictu, śmiać się trzeba, że nałożona opłata na broń myśliwską, uznana za rzecz zbytku, ma służyć, między innemi na pokrycie kosztów utrzymania ekwipażu pana Prezydenta miasta.

Zdaje mi się jednak, że po odtrąceniu kosztów ewidencji i ściągnięciu tej opłaty ewentualnie pozostała reszta nie wystarczy na utrzymanie pary koni i uliberjowanego stangreta i trzeba będzie nałożyć dodatkową opłatę na krawców za zbytkową maszynę do szycia, na stolarzy za zbytkowy hebel i piłkę, — albo może opłatę na laskę spacerową, na zegarek, łyżwy, rakiety tenisowe, narty, piłki fotbalowe. (Myślę że za podanie tego źródła możliwego dochodu, otrzymam z magistrackiej sekcji artykułów zbytku, list pochwalny).

Teoretycznie zgadzam się na rejestracyjny podatek od broni myśliwskiej, z tem jednak zastrzeżeniem, że uzyskana ztąd kwota ma utrzymać specjalny fundusz celem podniesienia łowiectwa, tak jak to powinno się było stać z funduszem za karty myśliwskie. Dodatnich jednak skutków wprowadzenia tej opłaty w rzeczywistości nie widzę.

Tę rejestracyjną opłatę zapłacą ci, co zawsze mają karty na broń i karty myśliwskie. — Kłusownicy zaś będą jak dotychczas uważali wszelkie opłaty, jako ich nieobowiązujące.

Wykaz uskutecznionych zgłoszeń i opłat, nie będzie wcale zwierciadłem, wykaznjącem ilość posiadanej broni w Państwie, chyba, że kary za zatajenie będą bardzo wysokie, idące w tysiące złotych i w miesiące aresztu, a policja państwowa rozwinie za zatajeniami jak największą energję.

W umieszczonej w „Łowcu“ z marca 1927 Nr. 3 korespondencji wypowiedziałem moje poglądy w sprawie akcji przeciw kłusownictwu przez ograniczenie sprzedaży broni i amunicji, jako też przez unormowanie sposobu legitymacji pochodzenia zwierzyny.

Pozostaje jeszcze sprawa karania kłusownictwa, sprawa która nie wszędzie traktowaną jest tak, jakby tego sprawiedliwość i interes gospodarki łowieckiej wymagały.

Niezawisłość sędziowska nie pozwala władzom przełożonym na wydanie w tych sprawach imperatywu.

W pełnem prawie jest jenak nadprokurator państwa do wydawania urzędującym przy sądach powiatowych

„funkcjonarjuszom prokuratorji państwa“ polecenia aby, tak od wyroków uwalniających kłusowników od winy i kary jakoteż od wyroków wymierzających kłusownikom zasądzonym co do wymiaru kary zgłaszali bezwarunkowo odwołanie (rekurs).

Stronie bowiem prywatnej nie przysłuża, w myśl obowiązującej ustawy prawo odwołania się od uwalniającego wyroku w przekroczeniach z urzędu ścigać się mających, a do tych należą skargi przeciw kłusownictwu tak, że w razie uwalniającego wyroku, przeciw któremu funkcjonarjusz prokuratorji państwa nie zarekurował, wyrok ten staje się prawomocnym, przeciw czemu nie ma dalszego prawnego środka.

Gdy zaś będzie obowiązkiem funkcjonarjusza prokuratorji państwa, bezwarunkowo odwoływać się od takich wyroków, do wyższej instancji, to ta wyższa instancja, będzie miała sposobność naprawić ewentualny błąd, popełniony przez sędziego pierwszej instancji.

A i sędzia pierwszej instancji, wiedząc, że jego wyrok będzie przedmiotem badania wyższego sądu, poświęci takiej sprawie więcej uwagi.

K. Strzemię.

* * *

Janów koło Lwowa, w marcu 1927.

Wobec zakończenia sezonu myśliwskiego poczuwam się do obowiązku złożenia sprawozdania z mego okręgu za ubiegły rok, t. j. z części północnej powiatu gródeckiego.

Okręg ten mieści w sobie przeważnie duże kompleksy dóbr kilku właścicieli myśliwych, co dla ochrony zwierzyny i racjonalnej gospodarki łowieckiej jest bardzo korzystnem, tembardziej że każdy z tych kompleksów zaokrągla się dzierżawami polowań gminnych celem stwarzania terenów ochronnych dla własnej zwierzyny.

Stan zajęcy jest na ogół słaby, gdyż głębokie lasy łąki podmokłe i ubogie i nieliczne użytki rolne nie sprzyjają rozmnoży szaraka. To też na tegorocznych kilku polowaniach, tu i ówdzie urządzanych rozkłady były bardzo mierne tem bardziej, że złe warunki atmosferyczne zeszłej wiosny i lata wpłynęły niekorzystnie na stan zajęcy w naszym okręgu. — Stan sarn natomiast jest bardzo dobry a nawet w niektórych majątkach, jak n. p. w dobrach janowskich tak liczny, że szkody w kulturach lasowych przez sarny wyrządzane są bardzo poważne. — W niektórych większych kompleksach właściciele polują na rogacze tylko w porze letniej, nie strzelając kozłów na polowaniach zimowych. W mniejszych okręgach a przeważnie w dzierżawionych strzelają kozły także i w zimie.

Stan dzików jest zadowalający. W zimie krążą one po całym okręgu przenosząc swe barłogi to tu to tam, krócej lub dłużej się zatrzymując. Szczególnie w tym roku wędrówki te były ożywione, gdyż ani lasy bukowe ani dębiny nie okazywały należnej gościnności, wobec nieurodzaju bukwi i żołędzi. Odstrzału w naszym okręgu podać niemogę, gdyż odnośnych sprawozdań nieotrzymałem.

Ptactwo wodne, — t. j. głównie kaczki dzikie pojawiło się licznie na tutejszych stawach, przeważnie jednak dopiero w sierpniu, przynajmniej tak to zaobserwowałem na stawach janowskich i trzymało się aż do ostatecznego zamarznięcia tych wielkich przestrzeni wód, przenosząc się potem na oparzeliska i niezamarznięte rzeki.

Stan kuropatw ciągle bardzo nikły. Lisów dość dużo; parszywych nie spotykałem.

Pod względem ochrony zwierzyny przed drapieżcami stosunki się poprawiły znacznie. Straże leśne tępią skutecznie szkodniki skrzydlate i czworonożne, do których przedewszystkiem zaliczyć trzeba włóczące się psy.

Wszystkie sprawy nadsyłane przez Starostwo gródeckie załatwiono przesyłając opinię odnośnie do dzierżaw praw polowania i w sprawie zamknięcia niektórych okręgów z powodu nieracjonalnego prowadzenia gospodarki łowieckiej.

Wojciech Gołuchowski.

* * *

Złoczów 8 marca 1927.

Jednym z najbardziej pocieszających jest fakt, że stan sarn w lasach naszego powiatu tak znacznie się poprawił, że w przyszłym sezonie nie zajdzie już zdaje się potrzeba zamykania polowania na nie.

Również i stadka kuropatw są znacznie liczniejsze, ale bez ochrony przynajmniej przez 1 rok jeszcze nie będzie ich można zostawić.

W przeciwieństwie do lat poprzednich ubiegłej zimy wszystkie rzeki i potoki a zwłaszcza oparzeliska wprost roiły się od krzyżówek, wobec czego mamy nadzieję, że jeżeli tylko wiosenny lęg dopisze, to będziemy mogli w jesieni do syta użyć polowania na nie.

Ptactwa błotnego już od lat kilku jest mało, a przepiórki zdaje się wkrótce będą należeć u nas do rzadkości.

Widocznym jest przyrost dzików i lisów.

Stan zajęcy w ubiegłym sezonie na jednych terenach był bardzo dobry na innych bardzo słaby, na ogół zaś mierny, a o wiele gorszy niż w dwu latach poprzednich. Prawdopodobnie zaszkodziły mu bardzo na nisko położonych terenach długotrwałe słoty wiosenne. Podniesiono nawet alarm z powodu rzekomo dziesiątkującej zajęce motylicy. Ta motylica jednak okazała się tylko wytworem fantazji, gdyż nie słyszałem, by któryś z poważnych tutejszych myśliwych epidemję motylicy zauważył, a ja mimo zbadania kilkudziesięciu sztuk motylicy nie swierdziłem.

W zastraszającem tylko tępie wzrasta u nas kłusownictwo, a zwłaszcza wnykarstwo; każdy las i gaik są wprost odrutowane sidłami na zajęce i sarny, w które też często dostajemy się my sami myśliwi i nasze wyżły. Walczymy z tem, ale walka jest trudną i ciężką, a rezultaty niewielkie.

W powiecie naszym istnieją aż cztery towarzystwa łowieckie, ale posiadam daty statystyczne tylko z polowań urzędowych przez Polskie Towarzystwo Łowieckie w Złoczowie, a te są następujące:

9/X	1926	w	Skwarzawie	pola	21	strzelb	38	zaj.	1 słonka
3/XI	„	„	Sassowie	„	10	„	20	„	
13/XI	„	„	Olszanicy	„	19	„	33	„	
27/XI	„	„	Stadni	„	6	„	36	„	1 krzyżówka
11/XII	„	„	Snowiczu	„	6	„	17	„	
18/XII	„	„	Sassowie	las	16	„	5	„	
24/XII	„	„	Poczapach	„	8	„	15	„	1 lis
4/I	1927	„	Żukowie	„	13	„	20	„	1 lis
15/I	„	„	Snowiczu	„	18	„	17	„	
29/I	„	„	Boniszynie	pola	10	„	19	„	3 godz. pol.
31/I	„	„	Żukowie	las	14	„	19	„	2 lisy 1 rog.

Razem więc na gremialnych polowaniach ubito 249 zajęcy, 4 lisy i 1 rogacza.

Z innych polowań, w których brałem udział mile wspomnieć muszę polowanie w Zalesiu u p. Ożgi, gdzie prócz zajęcy padły także 3 dzikf.

Polując 4 grudnia 1926 w lesie szpilkowym w Zazulach po silnej zawiei śnieżnej ruszyłem w gąszczu 2 słonki, z których jedną ubiłem. Gajowy zaś w jakiś czas później opowiadał mi, że 12 grudnia 1926 w tem samem miejscu ruszył jeszcze 2 słonki. Jesienny nalot słonek był bardzo obfity, a p. H. ze Złoczowa ubił tych długodziobów pięćdziesiąt i kilka. *Kazimierz Ansion.*

* * *

Germakówka, dnia 10. marca 1927.

W kluczu Germakówka Dr. Michała hr. Baworowskiego odbyły się w okresie zimowym 1926/27, następujące polowania:

1) Dnia 25/XI. 1926 polowanie kociołkowe Zalesie biskupie. Strzelb 6, ubito 59 zajęcy.

2) Dnia 14/XII 1926 polowanie leśno—polne rew. Morawiniec, Oddział Rosocha i pola folwarczne. Strzelb 5, ubito 13 zajęcy.

3) Dnia 18/XII i 20/XII. 1926, polowania kociołkowe gmina Zzlesie biskupie. Strzelb 3, ubito 1 kota i 34 zajęcy.

4) Dnia 24/XII. 1926, polowanie leśne rew. Skórnia. Strzelb 5, ubito 1 lisa i 12 zajęcy.

5) Dnia 11/I. 1927, polowanie leśne rew. Glinka. Strzelb 7, ubito 90 zajęcy.

6) Dnia 12/I. 1927, polowanie leśne w rew. Morawiniec. Strzelb 10, ubito 2 lisy i 143 zajęcy.

7) Dnia 13/I. 1927, polowanie leśne w rew. Skórnia. Strzelb 10, ubito 73 zajęcy.

8) Dnia 28/I. 1927, polowanie leśne w rew. Horoszowa. Strzelb 16, ubito 2 lisy i 329 zajęcy.

9) Dnia 29/I. 1927, polowanie kociołkowe gmina Horoszowaf Strzelb 15, ubito 106 zajęcy.

Ponadto złapano w żelazko w rewirze Morawiniec przy lisiej jamie, samicę żbika, 110 cm. dług. o wadze 6 kg.

Bilans polowań w roku 1926/27: 1 żbik, 5 lisów, 859 zajęcy i 2 zdziczałe koty.

W obrębie Germakówki polowano ponadto na terenach gminnych, dzierżawionych przez p. Stanisława Skowrońskiego, a to:

1) Dnia 21/XII. 1926, polowanie kociołkowe gmina Iwanie puste. Strzelb 12, ubito 1 kota i 96 zajęcy.

2) Dnia 3/I. 1927, polowanie w drukierach, gmina Germakówka. Strzelb 8, ubito 39 zajęcy.

3) Dnia 5/I. 1927, polowanie kociołkowe gmina Załucze. Strzelb 12, ubito 57 zajęcy.

4) Dnia 31/I. 1927, polowanie kociołkowe gmina Germakówka. Strzelb 6, ubito 48 zajęcy.

Razem ubito: 240 zajęcy.

Królem polowania był, jak zresztą od kilku lat, Józef hr. Koziebrodzki, niestrudzony i znakomity myśliwy.

Wyróżniała się również p. Starościna Federowiczowa, znakomitym rezultatem w okresie polowań zimowych.

Fr. Nawratil

* * *

Barszczowice, dnia 16 marca 1927.

Na pytanie skierowane pod adresem myśliwych w Łowcu Nr. 3 1927 odpowiadam że polując w różnych okolicach spotykałem się z nazwami: „Cap“ „Kozioł„ „Sarniuk“ i „Rogacz“.

Według mego zapatrywania to nazwa „Sarniuk“ byłaby najodpowiedniejszą dla samca sarny.

Nazwę rogacz można dodać u p. ubiłem sarniuka rogacza t. s. jak jelenia względnie byka rogala, gdy faktycznie jest z rogami.

Nazwa kozioł brzmi także nie źle i jest w niektórych okolicach już ustalona tak jak w innych nazwa rogacz.

Zresztą niech większa ilość myśliwych oświadczy się, którą nazwę rozpowszechnić i ustalić dla samca sarny.

M. J. M.

* * *

Słupiec W., 15. marca 1927. (pow. Dąbrowa).

Z obowiązku delegata zasyłam drobny film ilustrujący tutejsze stosunki łowieckie. Wyników polowań nie podaję, bo polowań prawie nie ma, a wyniki słabe. Milczałem wogóle dotychczas, milczeli inni, bo trudno przychodzi dzielić się wiadomościami smutnemi i na przyszłość prawie beznadziejnemi. Od kilku lat stan sarn, zajęcy i kuropatw słaby i coraz gorszy. Ten lichy stan utrzymuje się jedynie dzięki wielkiej powściągliwości kilku właścicieli samoistnych okręgów łow. i paru dzierżawców polowań gminnych, którzy po 2, 3 lata nie polują wcale, lub wyjątkowo opolowują 1/4 lub 1/2 terenu. A naturalne warunki dla zwierzyny są dobre i przed wojną było dość, miejscami dużo zwierzyny. Kłusownictwo i wnykarstwo dawniej sporadyczne, w pojedynkę, rozpanaszając się po wojnie coraz bardziej, przeszło w formę zorganizowanych szajek bandyckich. W 3, 5, 7 strzelb z naganiaczami, nieraz w maskach, lub poczernieni na twarzy, przebiegają żwawym krokiem terena łowieckie, lasy, atakują wprost strażników. Zanim pomoc nadbiegnie, są już na sąsiednim, lub trzecim okręgu łow. Straż jest bezsilna, niepewna życia. Za zdradzenie kłusownika czeka strażnika zemsta kompanionów, co najmniej ciężkie pobicie, a zdarzyło się u. r. i zabójstwo strażnika. Zamykanie polowania w tych warunkach, jak wykazało doświadczenie, przynosi raczej szkodę niż pożytek. Kłusownicy kpią sobie z ustaw i rozporządzeń. Polują też w czasie ochronnym. Już w b. r. między 15-tym a 22-gim lutego odbyło się czterodniowe polowąnie kłusowników na pewnym samoistnym okręgu. Jedno w dzień, trzy w nocy na śniegu przy księżycu. Podobne łowy odbyły się niewątpliwie i w wielu innych okręgach.

Z inicjatywy samego Starostwa odbył się 16. lutego b. r. zjazd delegatów łowieckich w Dąbrowie. Zebrało się 5 delegatów M. T. Ł, i dwóch Krakowskiego Tow. W obecności starosty, referenta spraw łowieckich i komendanta powiatowego Pol. P. uchwalono:

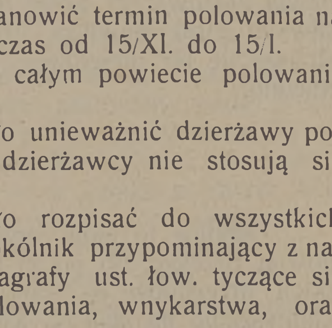
1. Delegaci winni podać Starostwu okręgi, w których należy zamknąć polowanie na 2 lata.

2. Na przeciąg 2 lat ustanowić termin polowania na zające w całym powiecie na czas od 15/XI. do 15/I.

3. Zamknąć na 2 lata w całym powiecie polowanie na kozły.

4. By Starostwo zechciało unieważnić dzierżawy polowań w okręgach, których dzierżawcy nie stosują się ściśle do przepisów ust. łow.

5. By Starostwo zechciało rozpisać do wszystkich gmin i posterunków Pol. P. okólnik przypominający z naciskiem niektóre ważne paragrafy ust. łow. tyczące się uprawień do wykonania polowania, wnykarstwa, oraz



sprzedaży zwierzyny łownej w całości i w części. (Pod w „części“ trzebaby koniecznie podciągnąć skórki).

Wnioski pod 1 i 2 uchwalono mimo niewiary w ich skuteczność ze względu na nadzieję dotkliwszych kar za polowanie na zamkniętym terenie i w ochronnym czasie, oraz ze względu na przeważną część dzierżawców polowań gm., którz już w pierwszych dniach października wybijają zające dosiadujące tak w ziemniakach, łubinach i t. p., że bez strzelby, butem lub pałką da się coś upolować. To polowanie (w każdej zresztą porze najszkodliwsze) na wydeptanego w październiku i pierwszej części listopada przynosi największe szkody. Pada mnóstwo zajęcy niedorosłych i samic, nadto skórki mają małą wartość sprzedażną, a jeszcze mniejszą użytkową. W ten sposób nie mogą być dłużej traktowane sprawy łowieckie w Polsce.

Sprawa nie jest wcale błahą, całe społeczeństwo, a rząd w pierwszym rzędzie muszą się zająć naprawą tych stosunków. Futra i filce z zimowych zajęcy są najcieplejsze i najtrwalsze, a lisów (tembardziej niedźwiedzi) nie ma zbyt wiele i ilość tych szkodników musi się zmniejszać. Zagranica dostarcza coraz mniej futer, są coraz droższe. To też b. r. futerko wiewiórki doszło juś do 5 zł. i dzięki temu zostały one prawie do szczętu wytępione w tutejszej okolicy. Skutki zaniedbania sprawy łowiectwa racjonalnego są już dziś widoczne. Wiemy, że podobne stosunki (mniej-więcej) panują powszechnie. Cierpi natem ogół, zatem i Państwo. Z tego to powodu cena zająca dochodziła już do 10 zł., skórki do 6 zł. na wsi. Przed wojną w Małopolsce kosztował cały zając około 4 zł. dzisiejszej waluty, skórka na wsi surowa około 40 gr., dzisiejszych! Te dziś ceny wygórowane są tylko dalszą zachętą dla kłusowników, myśliwych martwią. Przy lichym stanie zwierzyny jest racjonalne polowanie coraz kosztowniejszą rozrywką i zbyt dotkliwą dla próżnych, a nawet przedziurawionych przeważnie kieszeni różnemi progressjami, ubezpieczeniami i daninami.

Bez silnej i skutecznej pomocy Państwa naprawa stosunków nie nastąpi.

Pomoc ta jednak została zmniejszoną. Zredukowano b. znacznie Pol. P. tak, że zaledwie ma czas nadążyć w wypełnieniu rozkazów licznych przychodzących ze Starostwa i z sądów. Myśliwym prawdziwym opadają już ręce. Kto bowiem na dłuższą metę zechce łożyć na zwierzynę. na jej ochronę, płacić dzierżawy polowań i t. p. poto, by nie polować. nie mieć ani przyjemności, ani pożytku, gryźć własną wątrobę i przypatrywać się, jak się bawią kłusownicy? Toteż liczba tych „poświęconych“ myśliwych coraz mniejsza. Rząd, armia, społeczeństwo spostrzegą się po niewczasie jak ważną gałęź produkcji zatracono.

T. S.

* * *

Radłów w marcu 1927.

Ostatnie to moje sprawozdanie, jako delegata na powiat Brzesko, bo po 35 latach służby w lasach radłowskich przechodzę na emeryturę i przenoszę się w góry. Zamieszkam na stałe w Krynicy.

Żal mi opuścić okolice w których przez lat 35 bez przerwy byłem, ba nawet inwazję moskiewską tu przebyłem. Żal mi tych lasów radłowskich, żal mi i ukochanej zawsze zwierzyny, którą się przez tyle lat hodowało, formalnie pieściło i przed kłusownikami chroniło, chociaż w powojennych czasach pomimo starannej hodowli przez właściciela i personel lasowy, stan sarn nie dorównuje stanowi z przed roku 1915.

W sezonie polowań 1926/7 nie szczególne były wyniki polowań, bo w listopadzie i grudniu wciąż „lało i przeszkadzało“ i kto nie musiał, nie polował wcale. Tak zrobił prof. dr. Rutkowski, nie polował ani w lesie ani na terenach dzierżawnych, za jego przykładem poszedł p. Kępiński ze Szczurowy i p. Łasiński z Przyborowia.

My musieliśmy polować ze względu na potrzebę przedświątecznych podarunków corocznie około 60 zajęcy. Opolowaliśmy może około 1/3 terenów lasowych i dzierżawionych gminnych.

Słonki tylko uprzyjemniały nam smutne dni październikowe i listopadowe, bo jak tylko słońce trochę się pokazało, buszowaliśmy za niemi lub przy nagonce. Strzeliliśmy ich w lasach i wiklach nad Dunajcem 22.

Pierwsze polowanie odbyło się dnia 7 grudnia w rewirze Ruda, które wcale się nie udało z powodu silnej gołoledzi. Mgła, a w końcu deszcz ze śniegiem spowodowało żeśmy po zabiciu 10 zajęcy i 2-ch lisów przestali polować.

Drugie polowanie odbyło się w dniach 12 i 13 XII. na polach dzierżawionych przez podpisanego w spółce z p. Z. Kulczyńskim w gminach Przybysławice i Marcinkowice i tam gdzie corocznie strzelaliśmy 80 zajęcy w tym roku w 8 strzelb strzeliliśmy 63 i zaraz zmiarkowałem, że zajęcy w tym roku nie będzie i nie było.

Trzecie polowanie odbyło się na polach Radłowa i Woli radł. dnia 17 18 grudnia przy ogromnej wichurze i od czasu do czasu deszczu, ziemia była tak rozmokła że trudno było chodzić i paru myśliwych uciekło z polowania na leśniczówkę. W 9 strzelb strzeliliśmy 47 zajęcy.

Na polowaniu wigilijnem w rew. Ninka strzelono 22 zajęcy w 7 strzelb.

Dnia 11 stycznia w trzech — bo zaproszeni myśliwi z powodu złych dróg nie przybyli — w Zaborowiu strzeliliśmy 24 zajęcy, 4 zające strzelone uszły, strzelaliśmy prześlicznie, ale o 2-giej przestaliśmy bo już nóg z błota wyciągać nie mogliśmy.

Dnia 13 stycznia odbyło się większe polowanie lasowe w rew. Waryś przy przecudnej pogodzie w 10 strzelb zabito 3 lisy i 36 zajęcy.

Wesołość była ogólna, tak na nas wpłynęła pogoda której dawno nie mieliśmy no i... śniadanie u kolegi Czarneka.

Ostatnie dwudniowe polowanie odbyło się w lasach rew. Biadoliny, zjechało się nas 14-tu, jest to bowiem jedno z najładniejszych polowań w lasach radłowskich, ale zajączki zawiodły, bo tam gdzie się corocznie strzelało wyżej 120 zajęcy zastrzeliliśmy 57 i 4 lisy, pomimo bardzo dobrze prowadzonego, przez kolegę Smolińskiego, polowania i przy nagonce 100 ludzi zające nie wyskakiwały — bo ich nie było — a braliśmy połowę miotów od granicy pól.

Tu muszę zaznaczyć, że na to polowanie przyjechał aż z pod Chodorowa p. Tadeusz Ząbecki, który przecudnym i mistrzowskim strzałem kulą z drylinga na 97 kroków zabił lisa w pełnym pędzie. Gratulacje należące się panu Ząbeckiemu złożyliśmy mu — my starzy myśliwi i strzelcy, bo wart był tego.

Karol Szerauc.

* * *

Wysuczka w marcu 1927.

Na terenach myśliwskich ordynacji wysuckiej ubito, złapano i struto w ciągu r. 1926: psów 138, kotów 21, tchórzy 5, jastrzębi 31 (w czem obawiam się że pewien procent myszołowów), kruków 6, wron 89, srok 296, wybrano jaj wronich i sroczych 211 — razem zniszczono szkodników sztuk 797. — Na paru mniejszych polowaniach zimowych ubito: dzików 3, lisów 2, zajęcy 398. Na podjazd w lesie rogaczy 7. Sarny nie wyszły jeszcze z zeszłorocznej motylicy tak, że w rew. Piszczatyńce padło

na nią przez zimę 7 sztuk, wyłącznie zeszłorocznych. Stan sarn pomnożył się w rewirze Piszczatyńce z 98 sztuk obliczanych w styczniu 1926 na 132 sztuk obliczanych w styczniu 1927. W grudniu puszczono do rewiru Piszczatyńce 18 sztuk bażantów, które do dnia dzisiejszego żyją wszystkie z wyjątkiem jednej kury zjedzonej przez myszołowa.

C. C. G.

* * *

Lwów, w kwietniu 1927.

Jeden z naszych delegatów porusza następującą, nader żywotną sprawę:

„Od kilku już lat na wnioski delegatów zamykają Starostwa z roku na rok polowanie na kuropatwy z powodu złego stanu tego ptactwa.

Biorąc udział w tegorocznych gremjalnych polowaniach na terenie większej części pow. Jarosł. zauważyłem, że mimo tyloletniego zamykania polowania na kuropatwy, stan tegoż ptactwa polepszył się wprawdzie, ale tylko bardzo nieznacznie, przy tem jednak zauważyłem równocześnie, że spotykane nieliczne stadka kuropatw składają się w przeważnej części z kogutów, co wpływa niekorzystnie na rozmnożę kuropatw.

W rozmowach z tut. myśliwymi nad powodami, które wpływają na niekorzystny stan kuropatw i nader powolny ich przyrost, obok innych powodów, jak wyłapywanie w porze zimowej przez zwabianie ich do stodół, przez chwytanie na sidła i t. p. wyłoniło się też zdanie kilku myśliwych, iż kuropatw nienależy już więcej ochraniać, gdyż te pozostałe resztki są nawiedzone jakąś dziedziczną słabością i nie mogą rokować nadzieji, na odpowiednią rozmnożę, raczej należy je wybić, a na ich miejsce sprowadzić inne kuropatwy n. p. z Czech lub Poznańskiego i dlatego począwszy od bieżącego roku nie należy już zamykać polowania na kuropatwy.

Z mej strony, byłem i jestem innego zdania i przypisuję zły stan kuropatw w pierwszej linji dzikiemu, wyżej przedstawionemu kłusownictwu, a w drugiej linji niestosunkowo wysokiemu stanowi kogutów, a znikomej ilości kur, co przeszkadza lęgowi kuropatw. Stan ten dałby się tylko w ten sposób naprawić, gdyby: 1) jak najsurowiej tępić kłusowników w każdej formie, 2) gdyby każdy czy to właściciel samoistnego polowania, czy też dzierżawca został przymusowo zobowiązany postarać się w stosunku do przestrzeni posiadanego torenu myśliwskiego o pewną ilość kuropatw-kur i te wypuścił w odpowiednim czasie na swoim terenie, przez co mojem — może, nie miarodajnem — zdaniem powinien się stan kuropatw szybko i należycie podnieść.

Ponieważ z mojem zdaniem pozostałem w mniejszości i nie chciałem się przeciwstawiać apodyktycznym twierdzeniom niektórych myśliwych, dla tego pozwalam sobie zwrócić się do P. T. Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego z prośbą o informację, czy i o ile moje zapatrywanie na sprawę jest słnszne i czy wobec tego winienem i w bieżącym roku postawić Starostwu wniosek na zamknięcie polowania na kuropatwy, oraz o udzielenie mi w tej sprawie Swej cennej opinji co do celowości mego wniosku względnie wniosku innych myśliwych.

Niezależnie od tego pozwalam sobie upraszać P. T. Małopolskie Towarzystwo Łowieckie o łaskawe otwarcie nad tą sprawą wymiany zdań w naszym organie „Łowcu“.

N. N.

* * *

Jarosław w marcu 1927.

Ostatni sezon myśliwski na znacznej części tut. popowiatu nie był jednym z pomyślnych.

Ciąg słonek był słaby, a pogoda w czasie ciągów nie bardzo dopisywała. Ptactwa błotnego było nie wiele. Kszyki spotykało się tylko gdzieniegdzie i dopiero późną jesienią można było częściej je spotykać. Ptactwa wodnego również było nie wiele, a zwłaszcza cyranek, które spotykało się rzadko nawet na terenach, na których w innych latach było ich bardzo wiele i to tak na jeziorkach, jak i na ciągach. Przepiórek wcale nie było widać, a stan kuropatw mimo, że polowanie na nie jest już od paru lat zamknięte, tylko nieznacznie się poprawił.

Stan zajęcy był na ogół znacznie gorszy, aniżeli w poprzednim roku, to też i wyniki polowań nie szczególne, zwłaszcza na terenach niskich, wzdłuż Sanu położonych, gdzie wiele zajęcy wyginęło na motylicę. Ponieważ sprawozdanie z polowań na terenach myśliwskich Towarzystwa myśliwskiego im. św. Huberta w Jarosławiu złożył już inny delegat, a sprawozdanie z polowań na terenach dóbr Pełkińskich złoży w najbliższym czasie inny delegat, ja ograniczam się niniejszem do przedłożenia wyniku odstrzału za czas od 1 IV. 1926 r. do 28 II. b, r. na terenach dóbr Wysockich i Zarzeckich.

I tak na terenach dóbr wysockich strzelono w tym czasie: 10 rogaczy, 177 zajęcy, 9 dzików, 2 lisy, 12 kaczek, 5 słonek, zaś na terenach dóbr Zarzecze koło Jarosławia: 5 rogaczy, 184 zajęcy, 16 lisów; szkodników: 28 psów, 17 kotów, 35 jastrzębi 88 sojek, 50 wron, 39 srok, 1 czaplę siwą, 4 tchórze.

Biorąc udział w polowaniach kniejowych zauważyłem, że o ile stan sarn na ogół jest bardzo korzystny, to stan rogaczy w stosunku do ilości sarn jest niekorzystny, gdyż rogaczy jest stosunkowo za mało, dlatego też i odstrzał rogaczy musiał być z konieczności tak mały.

T. W.

* * *

Odrzechowa w marcu 1927.

Do dnia dzisiejszego czekałem czy na łamach „Łowca ukaże się korespndencja ze sanockiego, skąd tak rzadko nadchodzą wiadomości. Ponieważ jej dotąd nie było, w kilku słowach chcę skreślić obraz stosunków łowieckich naszego powiatu w tym roku.

W powiecie berło zajęczego polowania dzierży Zarszyn i Besko. Zarszyn robiąc polowanie na czarnej stopie w czasie fatalnym, chybił. Besko dało wprost świetne rezultaty, w 3 dniach przeszło 100 zajęcy. Ale też gospodarz w czasie przed polowaniami kupuje zające, a u siebie nie pozwala strzelać. Królestwem sarn jest Odrzechowa gdzie tego roku w 2 dniowem polowaniu padło 8 kozłów (kule) i ładny okaz żbika, prócz tego 6 lisów 20 zajęcy.

Na koniec trzeba wspomnieć o kniei gdzie schroniły się ostatnie dziki powiatu — o Załużu p. Pawła Wiktora. Gospodarz wróg polowania na dziki z psami, ma poważny argument na poparcie swej tezy, bo na polowaniu były widziane 32 dziki, 8 strzelono, padło 2. Do niczego innego nie strzelano. Polepszenie się zwierzostanu zawdzięcza powiat energicznej działalności Starostwa i referenta p. dra Pronia pasjonowanego myśliwego.

A. M.

* * *

Czernichów nad Wisłą, w marcu 1927.

Towarzystwo myśliwskie „Czernichów“, istniejące od roku 1905 rozwinęło w ostatnich dwóch latach żywszą działalność. Rozszerzono teren dzierżawny na dwanaście sąsiadujących bezpośrednio ze sobą gmin, o łą-

cznym obszarze 7518 ha, co znacznie ułatwiło racjonalną gospodarkę łowiecką, której wyników spodziewać się należy w najbliższych latach.

Z wiosną roku zeszłego sprowadzono z ordynacji Łańcuckiej 24 sztuk bażantów, które, jednak z powodu słotnego lata słabo się rozmnożyły. Towarzystwo posiadając odpowiednie dla bażantów tereny, postanowiło dążyć do możliwie obfitego ich stanu przez dalszy import materjału rozpłodowego.

Dla poprawienia stanu zwierzyny, głównie zajęcy i kuropatw poluje się w sposób oględny i utrzymuje się liczną, zorganizowaną i dobrze płatną straż. Regulamin straży dokładnie określający jej obowiązki, wyznacza płacę roczną Zł. 60, oraz wynagrodzenia następujące:

a) za przyłapanie kłusownika i udowodnienie mu winy w sądzie Zł. 30.

b) osobno za odebranie kłusownikowi broni Zł. 30.

c) za ubicie włóczącego się psa zwrot 2 naboi i Zł. 4.

d) za ubicie włóczącego się kota zwrot 1 nabój i Zł. 2.

e) za jastrzębia zwrot 2 naboi i Zł. 4.

f) za łasicę, wronę, lub srokę zwrot 1 naboja i Zł. 0.50.

g) za zniszczenie gniazda wron, lub srok Zł. 1.

Wynagrodzenia powyższe, wprawdzie wysokie, ale prowadzą radykalnie do celu.

Zanika bowiem rozpanoszone w okolicy kłusownictwo i zmiejsza się wyraźnie stan szkodników.

W roku 1925 ubiła straż 89 psów, 120 kotów, 14 łasic, 4 jastrzębie, 107 wron, 147 srok, oraz zniszczyła 118 gniazd wron i srok, zaś w roku 1926 (przy pewnem rozszerzeniu terenu) ubito 91 psów, 86 kotów, 5 łasic, 1 jastrzębia, 77 wron, 148 srok, i zniszczono 114 gniazd.

Największem złem trapiącem zwierzynę jest rozpowszechnione w ziemi krakowskiej wnykarstwo, z którem walka jest bardzo trudna, zwłaszcza wobec łagodnego traktowania tej sprawy przez władze sądowe. Należałoby dołożyć wszelkich starań, zwłaszcza ze strony centralnych organizacji myśliwskich, aby władze nasze zechciały energiczniej tępić wstrętne sidlarstwo, stokroć gorsze od kłusownictwa z bronią.

A teraz jeszcze krótkie sprawozdanie z polowań Towarzystwa.

W roku 1925 urządzono 6 polowań, na których padło 265 zajęcy, oraz upolowano w pojedynkę 80 kuropatw.

W sezonie roku 1926/27 odbyły się następujące polowania: dnia 21/X. 1926 w Kamieniu (las Ratowa) 9 strzelb, 14 zajęcy.

2/XI. 1926 w Kamieniu (Czarny las) 15 strzelb, 10 zajęcy i 1 lis.

4/XII. 1926 w Nowej-wsi 13 strzelb, 60 zajęcy.

22/XII. 1926 w Kaszowie 13 strzelb, 35 zajęcy.

23/XII. w części lasu czernichowskiego 14 strzelb, 42 zające i 3 bażanty.

24/XII. 1926 w Kłokoczynie 8 strzelb, 37 zajęcy i 1 królik.

28/XII. 1926 w Rącznej 15 strzelb, 74 zające.

8/I. 1927 w Dąbrowie 16 strzelb, 42 zające.

21/I. 1927 w Kamieniu (gmina) 4 strzelby, 9 zajęcy.

22/I. 1927 w Wołowicach 15 strzelb, 50 zajęcy.

29/I. 1927 w Zagaciu i Czernichówku 16 strelb, 27 zajęcy.

W sumie upolowano 400 zajęcy na polowaniach gremialnych, prócz tego w pojedynkę 25 zajęcy i 64 kuropatwy.

Stwierdzić należy, że stan zajęcy i kuropatw w ostatnim roku nie pogorszył się, ale się i nie poprawił, pomimo wszelkich starań ze strony Towarzystwa, co oczywiście przypisać należy długotrwałym słotom lata zeszłego.

Kronikę naszego Towarzystwa w ubiegłym sezonie zamknęliśmy ubiciem żbika. — Stało się to w połowie lutego, zatem we właściwym czasie wędrówek tego rabusia, — który też widocznie zasmakował w bażantach lasu czernichowskiego. — Strzelił go strażnik kulą flobertu 5 m/m, trafiając za łopatkę, tak że żbik padł na miejscu. — Okaz ładny samiec, wagi 40 kg. długości 98 ctm.

Inż. Tadeusz Rodkiewicz.

* * *

Gródek Jagielloński w marcu 1927.

CIĄG CZY TOKI?

Od niepamiętnych czasów polowania wiosenne na wabiące wieczorem lub rankiem słonki, nazywają myśliwi polowaniem „na ciągu“.

Nazwa ta, zdaniem mojem jest nieracjonalną. Przez ciąg ptactwa rozumie się albo przelot tychże z miejca na miejsce celem wyszukania żeru jak n. p. codzienny ciąg kaczek, krzyków, kulonów i t. p. ptactwa wodnego i błotnego, albo też ich wędrówkę dalszą z miejsc lęgowych w kraje cieplejsze w jesieni i z powrotem na wiosnę.

Przeciągania po lesie w różnych kierunkach wieczorem lub rankiem, połączonego z wabieniem, ściganiem się i szukaniem samiczek, a więc mającego na celu amory i zaloty, nie powinno się nazywać ciągiem, lecz raczej tokiem, tokowaniem, tokowiskiem.

Czy się uda kiedyś nazwę tę tak już dawną i utartą zmienić — wątpię i oto bynajmniej się nie kuszę, — chciałem tylko zwrócić uwagę Szan. Czytelników na niewłaściwość tej dotychczasowej nazwy. Wszak słonki lęgowe chrapią wieczorami również przez maj i czerwiec czasem do połowy lipca — a przecież niema wówczas „ciągu“ z południa na północ, lub przeciwnie, lecz jest raczej „spiew“ miłosny samczyków w locie w' pobliżu gnieżdżących się lub wodzących swą młódź samiczek.

W każdym razie panowie ornitolodzy i myśliwi może zastanowią się kiedyś nad zmianą nazwy, mającej na celu właściwsze określenie wiosennego polowania na wabiące słonki.

Dr. H. Malsburg.

* * *

Worochta w kwietniu 1927.

NOSIŁ ON, PONIEŚLI JEGO.

Pewien młody hucuł zastawił żelaza na kartofliskach gdzie od czasu do czasu pojawiał się w poszukiwaniu pożywienia wygłodzony śnieżną zimą — dziczek.

Ale jednocześnie, w poszukiwaniu innych przygód o nocnej porze przyszedł tam na wywiady stary wilk. — Dziwny traf zrządził, że jakaś kobieta ujrzała wkradającego się drapieżcę do owczarni i podniosła alarm. Spłoszony w ten sposób amator niewinnych owieczek, salwując się ucieczką wpadł niespodzianie do zastawionej pułapki na wspomnianego dzika, którą uniósł. wybierając najwygodniejszą dla siebie drogę wzdłuż pobliskiego potoku, gdzie przypadkowo natknął się na powracających ludzi z naszej straży łowieckiej. Ci zaś zaciekawieni brzękiem żelaza pobiegli w kierunku dziwnych odgłosów i ku wielkiemu ich zdziwieniu ujrzeli ogromnego wilka zaczepionego kotwicą łańcucha na pochyłości 3 m. berdy. Zachęceni przyobiecaną nagrodą za złapanie drapieżnika podjęli z nim niebezpieczną walkę, okładając jego boki kołami na prędce wyrwanemi z płota. W rezultacie udało się im obezwładnić wilka, okiełznać łańcuchem i skrępowanego w duże

szmacie przynieść do naszego domu o godzinie 12 w nocy. O jakież było moje zdziwienie, kiedy jeden z tych ludzi pukając do okna zameldował, że przynieśli żywego dużego wilka. Ponieważ noc była księżycowa, urządziliśmy zabawę w ogrodzeniu za siatką, wypuszczając cała sforę naszych piesków, dzielnie zaprawionych w zapasach z dzikami. Pieski odważnie stoczyły zwycięzką walkę, pozbawiając niefortunnego drapieżcę życia.

Wilczysko było duże, lat około 12, wagi 51 kg. — Widać miał na sumieniu wiele niewinnych ofiar, jeżeli sprawiedliwy los wyznaczył mu tak zasłużoną karę.

Jan Oksza Grabowski.

(Wolelibyśmy, by wilk zakończył życie w sposób mniej dramatyczny. Red.).

Rozmaitości

Polowanie na niedźwiedzie.

W numerze 1. z r. bież. Ks E. F. Hohenzolern opisuje polowanie z nagonką na niedżwiedzie w Alpach Siedmiogrodzkich koło Saskiego Regen w Rumunji w królewskim rewirze. Ubito tam w dwóch dniach z końcem września 1926, 11 niedzwiedzi 4 dziki i lisa.

Człowiek zmiażdżony przez węże.

Bardzo rzadko się zdarza by wielkie węże podzwrotnikowe, jak boa lub anakonda zaczepiały ludzi. Wypadek taki zdarzył się jednak niedawno w pobliżu miejscowości Pandjang na Sumatrze. Olbrzymi wąż rzucił się na jednego z robotników w lesie, otoczył go pierścieniami swego cielska i począł dusić. Na krzyk nieszczęśliwego przybiegli z siekierami inni robotnicy i ujrzeli węża ciągnącego już trupa w puszczę w ten sposób, że ogonem swoim okręcił szyję swej ofiary i ją za sobą włóczył. Na widok ludzi porzucił wąż swą zdobycz i umknął w dżunglę. Zwłoki przedstawiały zduszoną krwawą masę, wszystkie kości, nie wyłączając czaszki, były pogruchotane.

Sprawy Towarzystwa

SPRAWOZDANIE

z posiedzenia Wydziału M. T. Ł. w dniu 5 kwietnia 1927 r.

Przewodniczy Prezes Juliusz Hr. Bielski, obecni wiceprezesi A. Mniszek i A. Sander, członkowie Wydziału Inż. Ebenberger, Władysław Garapich, T. Jędrzejowicz, E. Münter, Dr. A. Małaczyński, St. Pieńczykowski i Dr. W. Ziembicki, zastępcy Dr. Fr. Piechowski i Dr. J. Rosinkiewicz, zaproszony M. Chrzanowski, prowadzący protokół Wł. Wesołowski. Nieobecność usprawiedliwili wicepr. C. Czarkowski-Golejewski, gen. Maraviglia, H. Prek, Dr. I. Śnieszek i A. Ulm.

Przeprowadzono wyczerpującą dyskusję w sprawie Towarzystwa Łowieckiego w Krakowie i stosunku jego do M. T. Ł., wyrażając nadzieję, że wkrótce jednak dojdzie do pożądanego porozumienia.

Sprawy delegackie i sprawy przyjęcia nowych członków odłożono do następnego posiedzenia, z powodu nieobecności referenta tych spraw Wiceprezesa C. Czarkowskiego-Golejewskiego.

Ze względu na to, że w czerwcu br. urządzają Targi wschodnie przy sposobności Wystawy łowieckiej premiowe strzelanie, w którem niewątpliwie członkowie nasi liczny wezmą udział, postanowiono narazie wstrzymać się z urządzeniem dorocznego w roku bieżącym strzelania premiowego M. T. Ł. urządzić je zaś tylko w tym wypadku, gdyby na Walnem Zgromadzeniu wyrażono życzenie, by dla zachowania tradycji i w tym roku takie strzelanie osobno się odbyło.

Termin Walnego Zgromadzenia M. T. Ł. ustalono na dzień 8. czerwca o godzinie 10-tej w Sali Towarzystwa Gospodarczego przy ul. Kopernika l. 20.

* * *

Sprostowanie: W posiedzeniu Wydziału w dniu 5. marca br. brał udział także i głos zabierał członek Wydziału E. Münter.

Na ołtarz św. Huberta w dalszym ciągu złożyli:

Jan Stypa 9 zł; Stanisław Figura zł 7; Stanisław Łazarewicz zł 7; Tomasz Krzyworączka zł 5; Ahraham Mandel zł 3; por. Wiktor Saluk zł 2; Wolf Mandel zł 2; Włodzimierz Niżankowski zł 1; Marjan Steblecki 50 gr; Kula Wojciech zł 5. Juliusz hr. Borkowski 20 zł.

Wystawa trofeów łowieckich zapowiada się imponująco. Zgłoszenia napływają ze wszystkich dzielnic Polski. Przypominamy, że z dniem 16 maja upływa termin zgłoszeń. Komitet org. I. O-pol. Wystawy Sportowej uchwalił prócz medali i listów pochwalnych *„wielką nagrodę“* w postaci srebrnego puchara za najwięcej wartościowy eksponat na wystawie trofeów łowieckich. Wystawa trwa od 3 do 16 Czerwca.

KOMITET.

Komunikaty

Polski Klub Myśliwski w Złoczowie zawiadamia członków swoich o Walnem Zgromadzeniu, które się odbędzie dnia 26. maja 1927 w sali Polskiej Organizacji Narodowej o godzinie 4. popołudniu z następującym porządkiem obrad:

1. Zagajenie.
2. Odczytanie protokołu z poprzedniego Walnego Zgromadzenia.
3. Sprawozdanie z czynności Zarządu.
4. Sprawozdanie kasowe i Komisji rewizyjnej.
5. Preliminarz na rok 1927/1928.
6. Zniżenie wkładek i oznaczenie numerus-clausus dla ilości czynnych członków.
7. Wybór 3. członków Zarządu w miejsce wylosowanych na lat 3. w myśl §. 13. statutu.
8. Wybór 3 członków Komisji rewizyjnej i 2. zastępców w myśl §. 24. statutu.
9. Wnioski interpelacje.

W razie braku kompletu w wyżej oznaczonym czasie, drugie Zwyczajne Walne Zgromadzenie odbędzie się tego samego dnia z niezmienionym porządkiem obrad w tym samym lokalu o godzinie 5-tej popołudniu, lecz już przy każdej ilości obecnych członków czynnych i wspierających w myśl §. 20. statutu.

Dział Łowiecki Wystawy Sportowej.

Dział łowiecki Ogólno — Polskiej Wystawy Sportowej (3 — 16 czerwca br. na terenie Targów Wschodnich we Lwowie) przybierze rozmiary imponujące. Naj-

wybitniejsi przedstawiciele łowiectwa polskiego zgłaszają nieustannie swe wspaniałe zbiory.

Ostatnio Zdzisław Hr. Tarnowski z Dzikowa zgłosił okazałą grupę trofeów i przedmiotów artystycznych, które wystawi w osobnej grupie. Niemniej bogaty zbiór własny zaprodukuje p. Wł. Walery Barański z Żulina, a nadto grupę tzw. „Rozhurecką“ (trofea śp. Wł. Barańskiego, Dr. R. Stroynowskiego, B. Komornickiego, T. Orzechowskiego, śp. Tadeusza Barańskiego, E. Barańskiego, T. Barańskiego i innych) nadto Roman Hr. Potocki grupę trofeów krajowych i grupę trofeów egzotycznych.

Udział Korpusu Ochrony Pogranicza w Wystawie Sportowej.

Dowództwo Korpusu Ochrony Pogranicza zgłosiło na wystawę Sportową we Lwowie grupę psów meldunkowo — śledczych używanych przez Korpus w służbie pogranicznej.

Uniwersytet Poznański

Dziekanat Wydziału Rolniczo-Leśnego.

Poznań, dnia 29. marca 1927.

Wobec ukazania się w różnych pismach nieścisłych informacji o współpracy i udziale profesorów Wydziału Rolniczo-leśnego Uniwersytetu Poznańskiego w organizozowanym przez pewnych przedsiębiorców wydawnictwie t. zw. „Wielkiej Encyklopedji Rolniczej“ wyjaśniamy: 1) że nieupoważniliśmy nikogo do powoływania się na nasze nazwiska w związku z wymienionem wydawnictwem; 2) że po bliższem wyjaśnieniu nam organizacji wydawnictwa postanowiliśmy, mimo zaproszeń, w zupełności odmówić swego w niem współudziału.

Profesorowie Wydziału Rolniczo-leśnego
Uniwersytetu Poznańskiego.

Dziekan Wydziału Rolniczo-Leśnego U. P.
Dr. Runge mp.

Od Grodzieńskiego Towarzystwa Myśliwskiego otrzymaliśmy pismo następującej treści.

Grodno, 7. kwietnia 1927.

Do
Wielce Szanownego Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we Lwowie.

Mamy zaszczyt zakomunikować Szanownemu Zarządowi Małopolskiego T-wa Łowieckiego, iż po odczytaniu sprawozdania z „Wiecu Myśliwych“ we Lwowie z dnia 27. lutego, Grodzieńskie Towarzystwo Myśliwskie solidarnie przyłącza się do uchwalonej przez Wiec rezolucji oraz wszystkich wyrażonych w niej postulatów:

Prezes: *G. Rejnhardt* m. p. Sekretarz: *A. Miączyński* m. p.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek. Z „Drukarni Narodowej“, Lwów, ul. Szajnochy 2. Tel. 21-35.
Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.

Od 3. do 16. czerwca 1927 r.

w ramach

WYSTAWY SPORTOWEJ

WE LWOWIE

na pokaz dorobku sportowego złożą się:

Wystawa Związku Polskich Związków Sportowych. — Wystawa jubileuszowa „SOKOŁA MACIERZY". — Wystawa broni siecznej. — Wystawa Związku Strzeleckiego z Wystawą broni palnej. — Wystawa fotografji i kinomatografji sportowej. — Wystawa wioślarsko-żeglarska. — Wystawa Głównej Komendy Policji Państwowej.

W związku z Wystawą urządzony będzie t. zw.

„TYDZIEŃ SPORTOWY"

połączony

z selekcją sił polskich do najbliższej Olimpjady.

Obejmie on między innemi następujące

WIDOWISKA, UROCZYSTOŚCI I MIĘDZYNARODOWE IMPREZY:

13, 14 i 15 maja	**Ogólno-Polskie zawody konne,** jako impreza poprzedzająca Wystawę.
1 — 6 czerwca	**Międzypaństwowy turniej tennisowy** przy udziale graczy Rumunji, Czechosłowacji i Polski.
3 czerwca	**Uroczyste otwarcie Wystawy.**
4, 5 i 6 czerwca	**Jubileuszowy Złot Sokolstwa Polskiego** z okazji 60-lecia „Sokoła-Macierzy".
5 i 6 czerwca	**Międzypaństwowe zawody szermiercze** Rumunja-Polska.
8 czerwca	**Wojskowy pokaz obrony Lwowa,** urządzony przez Związek Strzelecki.
9 i 10 czerwca	**Międzynarodowe zawody strzeleckie,** z udziałem zawodników Rumunji, Węgier, Czechosłowacji i Polski.
11, 12 i 13 czerwca	**Międzynarodowe zawody lekkoatletyczne** z udziałem zawodników Niemiec, Węgier, Czechosłowacji, Austrji, Finlandji, Estonji i Rumunji.
12 czerwca	**Międzymiastowy mecz footballowy Wrocław-Lwów,** jako rewanż dla pokonanej we Wrocławiu w 1926 r. drużyny niemieckiej.
12 czerwca	**Wyścigi samochodowe,** urządzone przez Małopolski Klub Autom.

Goście zamiejscowi, zwiedzający Wystawę, korzystają z 66% zniżki taryfowej od ceny biletów jazdy kolejowej dowolną klasą w drodze powrotnej ze Lwowa na podstawie poświadczenia pobytu na Wystawie.

Szczegółowe wskazówki, informacje i **PRZYDZIAŁ KWATER:**

w Biurze Centralnem Targów Wschodnich, Lwów, Jagiellońska 1.

Tel. 5-37, 9-64, adres telegr. „Tewuel".


TARGI
WSCHODNIE
W SŁUŻBIE POLSKIEGO
SPORTU
LWÓW 3-16. VI. 1927.